Nr. 30. Warszawa, dnia 23 (11) Lipca 1892 r. Rok XII

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Nowi abonenci na żądanie otrzymać mogą bezpłatnie początek powieści „Znużone dusze" w pięciu numerach z poprzedzającego kwartału.

POLITYKA.

RUMUNOWIE WĘGIERSCY.

Naiwnym wielbicielom kruczych wąsów, płomiennych oczu, czerwonych spodni i czardaszów nie wiadomo, że madziarzy należą do najokrutniejszych panów względem swych niewolników politycznych. Na surowość wymierzanego przez nich ucisku składają się rozmaite przyczyny, ale przedewszystkiem dziedzictwo barbarzyńskich instynktów, nizka i powierzchowna kultura, a wreszcie zmysł samozachowawczy, drażniony wzrastającą bezpłodnością. Węgier ukształcony jest dotychczas ogładzonym pra-pra-wnukiem hunnów; węgier nieokrzesany — ich synem. Petöfi, Jokaj, Munkaczy i garstka talentów lub umysłów wyższych nie stanowią jeszcze cywilizacyi narodu, chociażby on obradował w parlamencie i szczycił się konstytucyą. Jeżeli masa pozostaje zgniłą, stojącą wodą, pływające po niej kółka oliwy nie zmieniają jej natury. Węgrzy, wierni naturze swych przodków, starali się zawsze o zdobycie najlepszych zewnętrznych warunków życia, a nie dbali o jego wewnętrzny rozwój. W tym też kierunku udoskonalili się i odnieśli istotne tryumfy. Najsłabsi cywilizacyjnie śród ludów, z którymi tworzą związek państwowy, zajmują śród nich najbardziej niezależne stanowisko. Są to uprzywilejowani barbarzyńcy, którzy nie mogą strawić w swem łonie obcych żywiołów sokami żywotnej kultury, tylko miażdżą je i rozgryzają w swych barbarzyńskich szczękach. Pobudza ich do tego strach o byt. Stanowią bowiem rasę wymierającą, która się nie pomnaża, lecz ginie skutkiem bezpłodności, a wokoło siebie widzi szybki rozrost innych gatunków antropologicznych. Mieszkający w obrębie ich królestwa słowacy są ofiarami potulnemi, gdyż na energiczny opór nie pozwala im ani liczba, ani upośledzone stanowisko, ani niemowlęca kultura, ani wreszcie brak poparcia z zewnątrz. Mimo to węgrzy pastwią się nad nimi poprostu za ich króliczą mnożność, skutkiem której jedna para słowacka, osiedlona we wsi węgierskiej, po kilkudziesięciu latach tak się rozradza, że otrzymuje przewagę śród ludności.

Nie tyle płodni, co słowacy, ale śmielsi, bo mający oparcie w sąsiedniem państwie swych plemieńców, rumunowie są również przedmiotem węgierskiego ciemięstwa, zwłaszcza że liczą przeszło 2 miliony głów. Ponieważ ich bracia z królestwa nie odznaczają się krwią gorącą w znaczeniu politycznem i posiadają charakter dosyć bierny, przeto rumunowie węgierscy cierpliwie dźwigali swe jarzmo. Ale widocznie zaczęło ono ich karki zbyt przygniatać, bo z namowy kilku odważniejszych jednostek wysłali delegacyę ze skargą do cesarza. Franciszek Józef, który przedewszystkiem jest monarchą madziarów i zawsze ujawnia swoje dla nich sympatye, nie przyjął delegatów i kazał ich natychmiast wyprawić do domu. Węgrzy, którzy nawet bez tej podniety byliby starali się dokuczyć zuchwałym, upoważnieni tą odmową, rzucili się z całą wściekłością na powracających. Zbito ich, sponiewierano, pociągnięto do odpowiedzialności — i dotąd jeszcze trwa zaciekłe prześladowanie. Naturalnie wywołało ono ze strony przeciwnej uczucia głębokiej nienawiści i wytworzyło ruch, który łatwo stłumić się nie da. Nadto pobratymcy prześladowanych, którzy początkowo byli dość obojętnymi świadkami ich walki, coraz bardziej łączą się z nimi i podtrzymują wrzenie.

I oto Węgry mają kwestyę rumuńską, która nie grozi im obecnie gwałtownym wybuchem, ale w wypadkach stać może międzynarodowych stać się może czynnikiem niebezpiecznym. Uprzytomnijmy sobie tylko wnętrze Austryi, w której nie ma ani jednego żywiołu politycznego, niepracującego, świadomie lub bezwiednie, nad jej rozkładem i w której do tylu zbuntowanych przybywają rumuni. Czy jest zabezpieczony od pęknięcia garnek, w którym wre i kipi tak różnorodna a po części wybuchowa mieszanina? Nie dość tego. W miarę jątrzenia się sprawy węgiersko-rumuńskiej, rumunowie z królestwa coraz bardziej przyjmować będą udział w tym ruchu i odpowiednio oddziaływać na swój rząd. Dziś jest on przyjacielem, czy też tajnym uczestnikiem trójprzymierza, ale czy w tym stosunku zdoła długo wytrwać wobec rosnącej śród jego poddanych niechęci do Austro-Węgier? Wątpimy. Jeżeli zaś węgrzy nie uwzględniają następstw swojej srogości, to albo są na nie ślepi, albo je lekceważą. Więcej oznak przemawia za tą drugą możliwością. W takim razie widocznie jakaś nieomylna Pytya wywróżyła im, że świat skończy swoje istnienie w obecnej postaci i z obecnym układem stosunków międzynarodowych, że wiecznie na nim pozostanie Austrya, w której rządzą węgrzy, że tokaj będzie zawsze winem toastów wznoszonych za ich niepodległość i samowolę. Szczęśliwi, bo mogą spokojnie... spać.

WIZERUNKI Z PARLAMENTU AUSTRYACKIEGO.
(LISTY).

III.

Stronnictwo młodoczeskie — jak już wspomniałem — nie ma właściwego przewódcy, a objawia się to nawet formalnie, gdyż przewodnictwo w klubie przechodzi tam kolejno od jednego do drugiego. Do najwybitniejszych posłów należą tu: Gregr, Kramer, Kaizl, Eim, Massaryk i Herold; nie brak jednak i innych ludzi bardzo wybitnych zdolności. Zostawiam sobie na później skreślenie pojedynczych wizerunków; na teraz, skończywszy z przewódcami klubów, powracam przedewszystkiem do Koła

posłów polskich. Scharakteryzowałem już prezesa ich, a nim przejdę do „pionków,“ zająć mi się wypada członkami tak zwanej komisyi parlamentarnej. Przedewszystkiem jednak określić bym pragnął, czem właściwie jest ta komisya i jaką odgrywa rolę?

Na to pytanie odpowiadam zwięźle: składa się ona z pięciu posłów, jest właściwą i jedyną reprezentacyą całej siedmiomilionowej ludności Galicyi. Kiedy wbrew woli kraju zniesiono prawo sejmu wybierania delegacyi do Rady państwa i wprowadzono wybory bezpośrednie, powstała w Galicyi obawa, że pomiędzy sejmem a reprezentacyą w Wiedniu wydarzać się będą różnice w kierunkach i dążnościach, oraz że różnice te wyrządzić mogą interesom kraju wielką krzywdę. Starano się zatem wszelkiemi siłami o organizacyę wyborczą, która zapewniałaby jednolitość dążeń Koła polskiego w Wiedniu i sejmu galicyjskiego, a nadto o ustanowienie w niem komisyi parlamentarnej, która by nad tą jednolitością czuwała. Z czasem jednakże, kiedy coraz więcej nasyłano do Wiednia posłów — karyerowiczów, bez zdolności i politycznego wykształcenia, komisya owa stała się rodzajem władzy, załatwia wszelkie sprawy, nie troszcząc się o resztę posłów, prowadzi z rządem targi i układy, słowem, zupełnie niepodzielnie rządzi Galicyą, oraz w części i Austryą, a nawet zajmuje się rozdawaniem posad i dostojeństw. Wobec tego tak wielkiego jej znaczenia warto przypatrzyć się bliżej ludziom, którzy w niej zasiadają. Oprócz p. Jaworskiego, o którym już pisałem, należą tu jeszcze czterej posłowie: Abrahamowicz, Madejski, Gołuchowski i Benoe.

P. Dawid Abrahamowicz, człowiek dziś pięćdziesięcioletni, od wielu lat już zasiada i w sejmie i w Izbie poselskiej. Nie przeszedłszy żadnych systematycznych studyów, potrafił jednak z biegiem lat nabyć dość znacznego wykształcenia politycznego, a przedewszystkiem poznać sprawy i potrzeby krajowe gruntowniej, aniżeli większość jego kolegów. Brak podstawowej wiedzy, zwłaszcza dawniej, płatał mu rozmaite figle i często narażał na śmieszność. Szczególnie Jan Lam ośmieszanie p. Abrahamowicza wziął sobie był niemal za cel życia, jakkolwiek rzeczywiście niewielu mamy posłów równej użyteczności. Najgłówniejszą jego cnotą jest odwaga cywilna. Jeżeli widzi, że jakiś, chociażby najbardziej niepopularny podatek jednakże w interesie kraju jest konieczny, nie zawaha się ani na chwilę i śmiało weźmie na siebie inicyatywę. Również ilekroć chodzi o rzecz na pozór drobną, której „wielcy politycy“ imać się sromają, a która jednakże dla kraju wysoce jest użyteczna, Abrahamowicz z pewnością wniosek podejmie i stanie w jego obronie. Politycznie należy on do stronnictwa środka, czyli do grupy wolno-konserwatywnej i zalicza się do najszczerszych autonomistów.

P. Madeyski, po śmierci Hausnera najlepszy w Kole mówca, przechodził wszystkie fazy, aż wreszcie znalazł się w skrajnie zachowawczym obozie krakowskim. Jako notaryusz w Brzostku wybrany do sejmu, hetmanił początkowo liberałom, przeszedł następnie do stronnictwa środka, a w końcu stał się luminarzem pomiędzy stańczykami. Mówca znakomity, prawnik pierwszorzędny, a polityk wielkiej mocy, byłby p. Madeyski dobił się z pewnością zaszczytnego miejsca w historyi Galicyi, gdyby w pół drogi nie rozpoczął był frymarczenia własnemi przekonaniami, które wreszcie doprowadziło go do zupełnej prostytucyi politycznej. Synekury, dygnitarstwa i dochody spadają nań deszczem tak obfitym, że już nawet koledzy w Kole, przyzwyczajeni do niejednej facyendy, poczynają się burzyć i wstydzić. Naprzód otrzymał profesurę (nigdy niewykonywaną) w uniwersytecie krakowskim, potem 30 złr. dziennie za prace kondyfikacyjne w ministeryum sprawiedliwości, dalej posadę w Radzie zawiadowczej kolei Karola Ludwika, drugą takąż w austryackim zakładzie kredytowym ziemskim itd., itd. Obecnie ma widoki na godność prezydenta apelacyjnych sądów w Galicyi. W tej pogoni za dochodami i honorami zmarnował się potężny talent, a dziś p. Madeyski nie jest niczem więcej, tylko wdzięcznym i powolnym sługą hr. Taaffego.

Następny członek komisyi parlamentarnej, hr. Gołuchowski, młodszy syn byłego ministra, a brat austro-węgierskiego ambasadora w Bukareszcie, dostał się na dygnitarstwo w Kole polskiem niemal przypadkowo. Rosnąca stale w siłę grupa liberalna domagała się bowiem koniecznie reprezentanta w komisyi parlamentarnej, a stańczycy, którzy, bądź co bądź, z liberałami liczyć się muszą, zgodzili się „krakowskim targiem“ na hr. Gołuchowskiego, który wprawdzie nie jest liberalnym, ale też nie jest stańczykiem. Czem właściwie jest, określić trudno, gdyż nigdy w żadnej sprawie, ani w Izbie, ani w Kole, nie zajął określonego stanowiska. Sam mieni się autonomistą, jeżeli wogóle raczy mówić, zazwyczaj bowiem milczy uporczywie, nie wiadomo, czy z obawy, aby nie wyrwać się z głupstwem, czy też aby nie rozrzucać pereł swej mądrości. Zresztą jest to jeszcze poseł bardzo młody, z którego najprawdopodobniej z czasem urośnie pełnej krwi stańczyk.

Zupełnem i ogólnie uznanem zerem jest piąty członek komisyi, p. Benoe. Ani w kraju, ani nawet w Kole nikt nie wie, dlaczego on wybierany bywa posłem, dlaczego zasiada w komisyi parlamentarnej i dlaczego należy do delegacyj wspólnych, a jednak z roku na rok wszyscy niemal głosują na niego, jakby pod wpływem fatalizmu. Jest to człowiek już w podeszłym wieku, czystego nazwiska i znakomity hodowca koni, jako poseł jednak w czasie kilkunastoletniej „działalności“ ani razu nie wykazał chociażby gestem, a już zgoła nie słowem, jakiegokolwiek zdania politycznego. W Kole otacza go podobna aureola, jak imci pana Pickwicka, tylko że wynalezienie teoryi głowaczy zastępuje w tym wypadku hodowla koni.

(D. n.)

Nie-poseł.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Na coś przecie musi być zawsze „wytężona uwaga“ prasy politycznej, więc też rezultat wyborów angielskich stał się tym zajmującym przedmiotem. Nareszcie cyfry pogodziły się w telegramach z wnioskami: liberalni (gladstoniści) otrzymali 272 mandaty, zachowawcy 261, unioniści 50, parnelczycy 9 i antiparnelczycy 68. Ale i tu zgoda nie jest zupełna. Jakkolwiek bowiem stronnictwo Gladstone'a w tem obliczeniu posiada przewagę 11 głosów, a może z wyborów dodatkowych pozyskać jeszcze pewien przyrost, nie trzeba zapominać, że unioniści dotychczas szli łącznie z konserwatystami, a w każdym razie nie pomogą „wielkiemu starcowi“ do przeprowadzenia samorządu Irlandyi. Wogóle opinia powszechna przepowiada, że będzie on miał za małą większość dla podjęcia donośnych reform wewnętrznych, że przeto zdoła tylko „wybrukować kawałek piekła dobremi chęciami.“ Rozumie się, prasę europejską obchodzi przedewszystkiem polityka zagrani-

---

9)

ARNE GARBORG.

ZNUŻONE DUSZE.

(Przekład z upoważnienia autora).

„Kochana, kochana panno Fanny! Nie mogę żyć bez ciebie. Lecz znam siebie i wiem, że małżeństwo między nami byłoby tylko drogą do wspólnego nieszczęścia.

Mówię to pani zupełnie otwarcie, bo chcę, iżbyś pojęła, że cię szanuję i inteligencyi twojej ufam, jak również że nie mam zamiaru oszukać cię lub poigrać z tobą niegodnie. Kładę wszystkie moje karty na stół i powiadam: tak stoją rzeczy. Zrozumiej to pani.

Pytanie zatem jest, czy pani takie dla mnie masz uczucia, że po podobnem oświadczeniu *zechcesz* i tak o miłości myślisz, że po niem *będziesz mogła* pragnąć czego innego, aniżeli zerwania naszego stosunku. Jeżeli pani zerwiesz — żegnam cię temi słowami i dziękuję ci za przyjemną i zajmującą przerwę w monotonności tak zwanego mego życia. Jeżeli nadal przychodzić będziesz na zwykłe nasze spacery, uczynisz mnie nad wyraz, nad wyraz szczęśliwym.

Lecz zważ pani dobrze, że nic przy tem wygrać, natomiast *wszystko* stracić możesz. I nie zapomnij, że być bardzo może, iż pewnego pięknego dnia, kiedy ty właśnie w grze zasmakujesz, ja przyjdę i powiem: nie chcę więcej. Nie zgódź się pani na moją propozycyę, chyba że jak ja posiadasz odwagę zwątpienia, która mówi: życie za szczęście bodaj jednej chwili.

G. G.

Takie było brzmienie listu, który w końcu spaliłem.

* * *

— Nie, doprawdy; emancypacya nie jest rzeczą niebezpieczną. Jest to nowy rodzaj kokieteryi, nowy sposób zwrócenia na siebie uwagi i wzbudzenia zajęcia; z chwilą, kiedy taka dama posiada męża, przypuszczam, że zapał znacznie ostyga.

— Nie zawsze!

— Zazwyczaj. Najgorszem jest to, że w „stowarzyszeniu kobiet“ uczą się niezręczności. Sala balowa jest jednak lepszą dla młodych panien szkołą. A znowu dobrą stroną „stowarzyszenia“ jest, że tam rozbudzają w sobie większy szacunek dla nas, mężczyzn.

— O, co do tego...

— Owszem, owszem. W sali balowej, widzi pani, spotykacie nas najczęściej w naszych nielicznych, a w każdym razie najgłupszych chwilach. Wskutek tego nabieracie dla nas jakiejś cichej, głębokiej pogardy, która jest niezdrową. Lecz w stowarzyszeniu, gdzie się zamykacie, aby przyswoić sobie tę lub inną wiadomość, przez nas wymyśloną lub odkrytą wtedy, kiedy przebywaliśmy na właściwem naszem miejscu, na polu pracy — w stowarzyszeniu budzi się w was jednak myśl, że mężczyzna ma prawo do waszego szacunku. Czy ta dodatnia strona równoważy ujemne? Bardzo wątpię. Lecz na razie wszystko to jest przecież tylko okresem przejściowym.

— No dobrze, ale niechże też pan powie... Że kobieta ma być żoną i matką; o tem wiem; ale proszę mi też powiedzieć, co począć właściwie winny te, które za mąż nie wychodzą?

— Wziąć sobie męża, póki czas.

— (Śmiech). No dobrze, ale te, które mimo wszystko męża nie dostały — czyż istotnie mają założyć ręce, nadto może mrzeć jeszcze z głodu?

— Nie mrze się jeszcze z głodu, jeżeli się nawet nie ma posady w jakimś kantorze. Cóż czyni mężczyzna, kiedy nie może otrzymać posady? Szuka sobie innego zaję-

czna nowego gabinetu. Gladstone ma sprzyjać Francyi a być przeciwnikiem trójprzymierza. Może tak jest, lecz w Anglii przy zmianie rządów powtarza się zawsze znany fakt wstępowania w ślady poprzedników opozycyi po objęciu władzy. Salisbury gani Gladstone'a, a Gladstone — Salisburego, dopóki nie usiądą pod kądzielą rządów; wtedy każdy z nich przędzie dalej nić drugiego, co najwyżej kręcąc inaczej wrzecionem. A obecnie nawet Gladstone nie karcił w swych odezwach wyborczych Salisburego za politykę zagraniczną. W Anglii, jak zaznaczyliśmy już dawniej, tory tej polityki są tak głęboko wyżłobione, że każdy prezes gabinetu musi niemi swój wóz prowadzić i co najwyżej może sobie pozwolić na małe od nich zboczenie. Zresztą dla Anglii, ciągnącej tradycyjnie największe zyski z neutralności, wyraźne przyłączenie się do którejkolwiek grupy mocarstw byłoby krokiem nader ryzykownym.

I właśnie w tej chwili jest ona zaplątana w zatargi, z których wyjść może szczęśliwie tylko bez narażenia sobie nikogo: w Maroku ma kłopoty z sułtanem, a w Afganistanie z emirem, który oświadczył wicekrólowi Indyj, wstawiającemu się za chanem Badiuru, że rad i rozkazów angielskich słuchać nie myśli, i tłumiąc rokosz chazarasów, zrobi to, co mu się podoba.

Wrzenie śród rumunów węgierskich przybrało ostrzejszy charakter: we wsi Magóra, na granicy Siedmiogrodu i Bukowiny, przyszło do krwawego starcia między żandarmami a ludnością, przyczem 2 osoby zginęły a 25 jest rannych.

Królowi włoskiemu, jadącemu na wystawę Kolumbową do Genui, towarzyszyć będzie również eskadra francuska. Ta grzeczność wszakże jest odwzajemnieniem się za podobną, wyświadczoną ongi ze strony Włoch Carnotowi i nie znamionuje żadnego zwrotu w stosunkach.

W Sofii zakończył się proces oskarżonych o zabójstwo ministra Belczewa i spisek przeciw Stambułowowi: Milarowa, Popowa, Georgiewa i Karagułowa skazano na śmierć, Wasiliewa, Dzudzowa i Bobekowa na 10, Lepawcowa i Karawełowa na 5, a Kitanczewa na 3 lata ciężkiego więzienia.

Cholera stała się przedmiotem narad w łonie rządów Austryi i Niemiec, zagrożonych nią dwustronnie. W Podwołoczyskach i Brodach zaprowadzono pięciodniową kwarantannę, a w Szczakowie — rewizyę sanitarną. Przewidywane są jeszcze surowsze środki graniczne. Portugalia odcięła się od Francyi kordonem cholerycznym, przeciw któremu zaprotestował minister Ribot, ciągle wszakże Francya pozostaje w podejrzeniu, że ją epidemia już nawiedziła.

BADANIA NAUKOWE.

DWA OBOZY.

Wynaleziona w Ameryce północnej moda „plebiscytów“ artystycznych i naukowych, za pomocą których dziennik zwraca się z kolei do różnych specyalistów w danej gałęzi, zasięga ich zdania o pewnej sprawie i głosy te wydaje w dziełku zbiorowem, wtargnęła też i do Europy, znajdując przedewszystkiem we Francyi znaczne powodzenie. Dzisiaj mamy przed sobą nowy płód takiego zdania zbiorowego — w języku włoskim. Niejaki A. G. Bianchi, publicysta, korzystając z zajęcia, jakie wzbudziła choroba umysłowa znanego powieściopisarza francuskiego, Guy de Maupassanta, zwrócił się do rozmaitych psychiatrów i antropologów włoskich, prosząc ich o zdania co do zależności pomiędzy obłąkaniem a genialnością. W ten sposób powstał dość spory i ciekawy zbiór poglądów różnych dyrektorów domów zdrowia dla osób obłąkanych, profesorów psychiatryi, fizyologii i antropologów *). Przed czytelnikiem przesuwają się zdania: Tonniniego, C. Lombrosa, Zuccarellego, Venturego, Morsellego, Frigerio i in. — a wymieniam tylko nazwiska bardziej znane po za granicami Włoch. Naturalnie, nie chodzi nam tu o zapatrywania owych uczonych na chorobę Maupassanta, czy ona jest następstwem usposobienia dziedzicznego, czy też ukazała się skutkiem nieoględnego życia. Zresztą większość odpowiedzi traktuje tę sprawę bardzo pobieżnie, głównie zaś zagadnienia ogólniejsze, mianowicie jakie warunki organiczne są źródłem genialności i czy zawsze jest ona zjawiskiem natury chorobliwej.

Przerzucając zbiorek Bianchiego, prócz różnych drobnych odcieni i stanowisk chwiejnych, spostrzegamy dwa wyraźnie zakreślone obozy. Przedstawicielem jednego jest Lombroso ze swoją szkołą, o której istnieniu mówić możemy z całą słusznością. Tutaj należą Amadei, dyrektor szpitala obłąkanych w Cremonie, który pracuje nad mattoidami w nauce; Tonnini, zajmujący podobne stanowisko w Palermo i będący specyalistą w sprawie duchowych zboczeń u epileptyków; Frigerio, kierujący domem zdrowia w Aleksandryi, autor rozprawy w ulubionej dla niego kwestyi wpływu pewnych zranień głowy ludzi zwykłych na wytworzenie się ich genialności. Obóz ten rozwija ogłoszoną już dawniej przez psychiatrę francuskiego, Moreau de Tours, teoryę, iż genialność jest nietylko zjawiskiem wyjątkowem wśród ludzkości, ale nawskroś patologicznem i graniczy z obłędem. Teorya ta znalazła najsystematyczniejszy dotychczas swój wyraz w przetłomaczonem na język polski dziele *Geniusz i obłąkanie*. Według niego, geniusz jest często dzieckiem alkoholików, starców i narwańców, pół-waryatów; towarzyszą mu różne anomalie i nieprawidłowości, np. niesymetryczność i nieproporcyonalność w budowie czaszki; jeszcze częściej występuje obłąkanie zmysłu moralnego, halucynacye i przedwczesna dojrzałość duchowa; samobójstwo, podobnie jak u epileptyków, jest także zwykłem zjawiskiem wraz z popędem włóczęgowskim, religijnością, dwoistością osoby i świadomości; również geniusz zbliża się do epileptyka częstością wybuchów, spowodowanych przez zbyt małą w porównaniu ze skutkami przyczyną, oraz jakiemś dziwnem zamiłowaniem do zwierząt a niechęcią do ludzi, folgowaniem różnym dziwactwom itd. Lombroso nawet idzie jeszcze dalej, bo geniusza wprost uważa za pewien typ — jak go nazywa — epileptokształtny, a sam akt twórczości za wyładowanie duchowe, pokrewne najzupełniej atakowi epileptycznemu. W tym razie powołuje się on na zeznania artystów. „Jest pewien fatalizm — powiada Goncourt — w przypadku, nasuwającym po raz pierwszy myśl. Później działa jakaś siła nieznana, jakaś wyższa wola, rodzaj popędu pisarskiego: one to stwarzają dzieło i kierują piórem waszem — do tego stopnia, iż niekiedy książka, która wychodzi z waszych rąk, wydaje się wam samym, że jest niby tworem obcym i wprowadza was w podziw, że chociaż tkwiła w waszem jestestwie, wy o niej nie mieliście najmniejszego wyobrażenia.“ „Artysta — powiada

*) *La Patologia del Genio e gli scienziati italiani.* Medyolan.

---

cia. Boże ty mój—ostatecznie zawsze znajdzie się jakiś punkt wyjścia.

— Z czasem zostaje tyle pań niezamężnych, że przystęp do posad biurowych i urzędowych bardzo jest im na rękę.

— No, a cóż ma się stać z mężczyznami, których się w ten sposób z posad, przez nich dotychczas zajmowanych, ruguje? Czy to lepiej, ażeby oni z głodu marli? Zresztą w takim razie jeszcze więcej będzie pań, które za mąż nie wyjdą; bo mężczyzna bez stałego zajęcia znaczy zawsze: jedno małżeństwo mniej, podczas gdy pani, mająca stałe zajęcie, bynajmniej nie znaczy: jedno małżeństwo więcej.

— O, mężczyźni nie zawsze bywają tak delikatni, iżby nie pozwolili utrzymywać się przez swoje żony.

— Prawda, prawda. Lecz ważność rzeczy polega na tem, że ani państwo, ani pracodawcy nie odnoszą żadnej korzyści, używając funkcyonaryuszów, którzy każdej chwili potrzebują dziewięciomiesięcznego urlopu. Nauczycielki np. — zdaje mi się, że słyszałem, iż nauczycielki tracą posady, wychodząc za mąż?

Pauza. Potem rzekła:

— O, dobrze to się daje we znaki, że Bóg jest mężczyzną!

Wzruszenie ramion. Długa pauza.

* * *

Nie miała domu, jest zatem niegospodarna. Ja zaś jestem pedantem, aż do śmieszności.

Widzę przecież... Dość spojrzeć, w jaki sposób zrzuca z siebie ubranie, wchodząc gdziekolwiek: jedno na to krzesło, drugie na inne; parasolkę na kanapę, rękawiczki na konsolkę. Hu, bielizna dziecinna leżałaby po wszystkich kątach; przyrządy do szycia, gazety i szpilki do włosów mieszałyby się wszędzie razem ze zwiędłymi bukietami, figielkami, wśród starych krawatów, kokard i muszek; straciłbym poprostu apetyt.

Ach to, kobiety zawodowe, te pozadomowe, kawalerskie panie — jedno z dwojga: albo ostatecznie powinny zgodzić się na swoją bezpłciowość, albo też na seryo powinny wieść życie kawalerskie. To przebywanie po za domem czyni kobietę dla małżeństwa niezdatną. Traci ona równowagę, punkt oparcia; nabiera jakiegoś rozprzężenia, niepokoju, jakiejś niejednolitości, nieproporcyonalności; traci kobiecą pewność siebie, wyższość kobiecą, staje się nerwową, zmęczoną, zapracowaną, zirytowaną.

Kobieta bez stylu i bez gracyi — cóż począć właściwie z takiem stworzeniem? Siedzieć będzie w jakimś wspaniałym kantorze lub krzyczeć i gderać w szkole. W domu?.. Wszyscy prawie mężczyźni mają zmysł piękna.

Co się zaś tyczy przyszłej pani Gram, musi, między innemi, posiadać przedewszystkiem sztukę konwersacyi. Umieć mówić lekko, swobodnie, płynnie, bez wysiłku i bez pretensyi, bez cienia możliwości, iż wyrwać by jej się kiedyś miało — coś niezręcznego. Ja, będąc sam istotą bezdomną, daru tego nie posiadam (chyba przy dobrej pomocy). W Norwegii mało kto tak mówić umie; nasze demokratyczne, ciężkie życie uczy nas przemawiać publicznie, albo prowadzić dyskusye. *Ona* też tak mówić nie umie. Jest zanadto samouczką, a prawdopodobnie za wiele też w życiu milczała. Oszlifowana lekkość, miarowa, jednostajna naturalność, sztuka przesuwania się ze spokojem i swobodą po fali rozmowy, sztuka mówienia dobrych rzeczy bez podkreślania, bez niedozwonych trywialności, bez uprzykrzenia się... sztuka ta wymaga ćwiczeń. Ten rodzaj rozmowy jest konieczny między małżonkami, którzy przez lata, dzień w dzień, żyć z sobą muszą, jeżeli stosunek nie ma się stać wprost nieznośny.

...W nieszczęsnym moim mózgu dniem i nocą pracuje teraz Syzyf. Wtacza bezustannie jedną i tę samą myśl, wtacza i spuszcza ją znowu, wciąż, nieprzerwanie, aż póki mózg mój nie płonie.

* * *

Wprowadza mnie do dziwnego towarzystwa: nauczyciele, nauczycielki, seminarzy-

Balzac — tworzy pod naciskiem i władzą pewnych okoliczności, których powiązanie jest tajemnicą. Nie należy sam do siebie, jest igraszką siły nawskroś kapryśnej: nawet gdyby mu dawano królestwo, pewnego dnia nie zdołałby napisać jednego wiersza. Wieczorem podczas spoczynku, rano kiedy wstaje, to znowu wśród orgii hałaśliwej, jakby węgiel żarzący dotknie się czaszki jego, rąk, języka: jedno słowo przebudza łańcuchy myśli, które powstają, rosną, fermentują. Jest on wtedy artystą, pokornem narzędziem jakiejś woli despotycznej, posłusznem swojemu panu.“ Otóż taki stan bezwiedno-mechaniczny twórczości Lombroso porównywa do ataku epileptokształtnego i z tego podobieństwa wnioskuje o samej naturze geniuszów, która będąc podkładem takich wybuchów, nie może być w żaden sposób zdrową. Na tem właśnie stanowisku stoi cała jego szkoła. Przysłuchajmy się pojedyńczym głosom z pośród obozu, uznającego w geniuszu okaz patologiczny. Silvio Tonnini usiłuje dać temu przypuszczeniu uzasadnienie apriorystyczne. Niepodobna, ażeby wiele roślin zdołało znaleźć wystarczające pożywienie na niewielkiej przestrzeni gruntu, i jeżeli jakaś jedna z pośród nich wyrośnie niesłychanie, można być pewnym, że inne z tego powodu ucierpią. To samo dzieje się w zakresie umysłowości. Podstawą, na której wyrasta genialność, jest brak równowagi, pewna asymetrya funkcyonalna. „Nadmierne żywienie jakiegoś jednego organu, spełniającego czynności zbyt wygórowane, pozbawia inne soków, a wtedy pozostałe czynności są odpowiednio upośledzone. Dlatego to ów płód rzadki a cenny, jakim jest geniusz, znajduje lepszy grunt dla siebie w osobnikach zwyrodniałych, ponieważ zwyrodnienie dotrzymuje kroku asymetryczności i brakowi równowagi.“ Prof. Tamburini podziela to samo przekonanie. „Geniusz jest niewątpliwie anomalią wśród rodu ludzkiego; z tego powodu źródłem jego winny być jakieś wrodzone a nienormalne stosunki mózgowe, tkwiące aż nazbyt często w dziedziczności, zwyrodnieniu, neuropatyzmie.“ Ów stan chorobliwy wrodzony, zdaniem tego uczonego, potęguje się dalej dzięki jednostronnemu przeładowaniu mózgu genialnego nadmierną pracą umysłową, tak, iż okoliczności wrodzone i nabyte jednoczą się społem, ażeby go doprowadzić do zupełnego rozstroju.

Takie są poglądy szkoły Lombrosowskiej. Przerzucając stronnice książki, wydanej przez Bianchiego, spotkamy mnóstwo nazwisk, zajmujących to samo stanowisko, ujrzymy te lub inne nowe fakty, mające stwierdzać słuszność założenia, wreszcie próby uzmysłowienia zależności pomiędzy genialnością a obłąkaniem, mniej lub więcej naciągane, atoli wszystkie obracają się w tym zasadniczym poglądzie. Uległy one nader ostrej krytyce ze strony obozu przeciwnego, którego głównym przedstawicielem jest znany antropolog i jednocześnie kierownik kliniki psychiatrycznej przy uniwersytecie, H. Morselli. W pierwszej swej a krótkiej odpowiedzi zwrócił się już z całą stanowczością przeciw teoryi Lombrosa. „Obłąkanie i nerwice bynajmniej nie rodzą genialności, lecz ją tępią, są one nie przyczyną, wydającą geniuszów, ale w większości wypadków skutkiem, to jest owocem pracy mózgowej i wyczerpania.“ I w rzeczy samej, jeśli przyjrzymy się faktom, zobaczymy, że praca umysłowa znajduje się w ścisłym stosunku z obfitością obłąkań, a sama zależność co do swojej istoty nie może ulegać najmniejszej wątpliwości; mianowicie od pierwszego rzutu oka spostrzegamy, że nadmierne przeciążenie maszyny mózgowej pracą, a nie inny powód wywołuje takie właśnie następstwa. Później Morselli nadesłał Bianchiemu obszerniejsze uzasadnienie swojego zdania, które usiłuje rozwinąć szerzej, wypowiadając najzupełniejszą walkę poglądom Lombrosa, jako nazbyt jednostronnym i fałszywym. Między innemi mimochodem wypowiada on myśl pewną, zasługującą na bliższą uwagę. Mianowicie szkoła, widząca źródło genialności w zwyrodnieniu, nie wykracza w swoich wywodach po za epokę tegoczesną; tymczasem Morselli usiłuje rzucić na tę sprawę światło z punktu teoryi ewolucyjnej. Czemkolwiek jesteśmy dzisiaj w przeciętnych swych przedstawicielach, nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że nawet te średnio uzdolnione jednostki są gieniuszami w porównaniu z dalekimi naszymi praprzodkami. Każda epoka dziejowa posiada właściwe sobie głowy genialne; co większa, można powiedzieć, iż rozwój ludzki wciąż toczy się w kierunku masowego osiągnięcia poziomu każdorazowej ganialności. A ponieważ niepodobna przypuścić, ażeby jedynie gieniusze z epoki cywilizacyjnej byli okazami patologicznymi, lecz należałoby raczej rozszerzyć tę prawdę na wszelkie czasy i miejsca, wypadałoby, że każdy zwykły członek dzisiejszego społeczeństwa cywilizowanego winien przedstawiać naturę patologiczną. Zresztą, jak wspomnieliśmy, Morselli nie rozwija tej swojej myśli, ale rzuca ją tylko mimochodem. Natomiast drobiazgowo zatrzymuje się nad zasadniczemi założeniami szkoły Lombrosowskiej, z góry zaznaczając, że jej teorye, wyprowadzające gienialność ze zwyrodnienia epileptokształtnego, są zbyt słabą próbą ujęcia i wytłomaczenia wszystkich faktów danego zakresu. Bo chociaż jest pewnem, że powyższe zdanie o związku przyczynowym zwyrodnienia z gienialnością jest najzupełniej słuszne względem niektórych przedstawicieli tej ostatniej, w żadnym jednak przypadku niepodobna go uogólnić do wszystkich. Nadto jeżeli już mamy przed sobą jakiegoś obłąkańca gienialnego, to i wtedy pierwszem naszem pytaniem winno być, czy objawy chorobliwe nie są czasami prostem następstwem tego życia nierozsądnego a wyczerpującego, jakie w zasadzie zawsze prowadzi każda jednostka, w wyższym stopniu uzdolniona. Lombroso, jako dowód przemawiający na korzyść swojej teoryi, przytacza muzyka Donizettiego. Morselli z tego powodu zwraca się do niego z zapytaniem, czy istotnie tylko dlatego ów mistrz tonów stworzył swoją *Faworytę*, że w nim niebawem miała rozwinąć się choroba duchowa, czy też nie wypadłoby raczej przypuścić, że obłąkanie ukazało się dopiero jako skutek pracy twórczo-umysłowej, która nie chciała słyszeć o żadnej racyonalnej hygienie? Morselli, przyznając, iż u wielu ludzi znakomitych bezwarunkowo występuje chorobliwa dziedziczność duchowa, stawia jeszcze kwestyę: czy ona istotnie jest źródłem twórczości gienialnej, lub też czy nie należy uważać jej tylko za przypadkową? Słowem, stajemy wobec całego szeregu pytań, których psychiatryczna szkoła gienialności nie uwzględniła; zamiast bowiem wyczerpującej analizy faktów podała ona jedynie wiązankę anegdotek i niekiedy nie pomyślała nawet o sprawdzeniu, czy w wielu razach nie są one najczystszej wody wymysłem. Lombrosiści tylko wtedy mieliby prawo tryumfować, gdyby uprzednio zbadali stan psychiczny i warunki życia każdej jednostki gienialnej i znaleźli, iż w każdym wypadku jest ona chorobliwą duchowo z urodzenia. Nadto winni przedewszystkiem odpowiedzieć na to, czem jest gienialność, gdzie się ona poczyna i czy we wszystkich zakresach ludzkiej działalności przedstawia te same cechy charakterystyczne. Z pierwszego już rzutu oka łatwo dostrzedz, iż ma-

---

ści, początkujący artyści — wszystko razem wzięte porządni ludzie, ale niedokończeni, „niżsi,“ mający w sobie pewną podwładność, która zazwyczaj jest towarzyszką świadomości, iż nie stoi się na samym szczycie.

Smutny to ród, ta rasa pośrednia. Za mało niedokształcona, aby mózg być szczęśliwą, a nie dość wykształcona, aby mózg zrezygnować: więc jęczy i wije się, niby w jakiejś duchowej histeryi. Prawią wskutek tego o „wielkich ideach“ i „wielkich prawdach,“ sądząc, że te idee i prawdy zawierają szczęśliwość wszystkich wtajemniczonych; sami, wskutek niesprawiedliwości losu — mianowicie wskutek braków materyalnych — wyłączeni są z używania owego szczęścia, stąd uważają się w prawie nienawidzenia Boga, ludzi i całego świata.

Właściwie sądziłby należało, że łatwo im wytłomaczyć, iż nieszczęście tych, co *wiedzą*, jest rzeczą nader problematyczną; że „stać na wyżynie“ — znaczy tylko: wiedzieć, jak niezmiernie mało wogóle wiedzieć można; że „sanctuarium“ to tylko „camera obscura,“ ostatnim, najgłębszym zaś wynikiem wiedzy — pytajnik. Ale to się na nic nie przyda. Tego nie zrozumieją. Uchodzi się poprostu za podejrzywacza, twierdząc coś podobnego. Ciężkie to poznanie — poznać, że nic wiedzieć nie można.

Dziwne stworzenie jest ta Ebba Lehmann. Pesymizm jej jest prawdziwie histeryczny. Właściwie nie jest nieinteligentna. A jednak nieprzyjemna. Przyczyna nazbyt widoczna: za mało miała szczęścia, aby zdobyć sobie w życiu kawałek.... dziecka.

Dama w wyborze towarzystwa swego winna być nader ostrożna. Obcując z ludźmi, stojącymi wyżej od niej, łatwo może zniknąć. Przestając z ludźmi, stojącymi znacznie od niej niżej, zniży się do ich poziomu.

Męczy mnie to, że Fanny znajduje się w takiem towarzystwie. Wśród tych ludzi staje się — tak nieprzyjemnie do nich podobną.

* * *

Ból głowy.

* * *

To są prawdziwi jej przyjaciele, tacy prawdziwi!

Gryzie mnie wątpliwość moja i nie znajduję spokoju; poniżam się aż do szpiegowania; ciągnę za język jej znajomych, ponieważ sama mówić nie chce. Wszyscy odpowiadają:

— Ależ naturalnie, Fanny jest poczciwą dziewczyną... o ile mi wiadomo!

Ociągają się przytem wszyscy. Nawet zacna pani Markusson...

— Ja przynajmniej nie *wiem* nic złego.— Mówią wprawdzie różnie o niej i o tym Uchermannie; nadto miało tam być coś między nią a jakimś subjektem; ale zapewne nic takiego. A póki ze wszelką pewnością nie wie się o człowieku czegoś takiego... itd.

Czy istnieje śmieszniejsze, niemożliwsze od mego położenie? Nie jest ani moją narzeczoną, ani moją kochanką, nie będzie mi też prawdopodobnie ani jedną, ani drugą; mimo to chodzę i zagryzam się myślami, myślą, że może miała kiedy jakiś stosunek... I to *ja!* ja, który do dziś dnia odwiedzam jeszcze Matyldę!... I z tej przyczyny piekielne znoszę męki.

Straszne to nieszczęście zakochać się po za sferą, do której się należy. W innych warstwach przemawia się językiem innym; panują tam inne pojęcia, co większa—uczucia inne; może jest dla niej rzeczą naturalną, prawem, obowiązkiem samozachowawczym przemilczenie wszystkiego, coby jej w oczach konkurenta szkodzić mogło.

Co to jest zazdrość? Prawdopodobnie niema ani jednego francuza, któryby ją wyczerpująco określić umiał. Sam stanu mego objaśnić sobie nie potrafię. Wiem tylko, że cierpię — bezsensownie, nieopisanie.

To nie zazdrość. Mnie to przecież wcale a wcale nie obchodzi. Szkoda, wielka szkoda, jeżeli taka miła, poczciwa dziewczyna splami i zhańbi się w brutalnej walce o byt,

my tutaj do czynienia z mozaiką nadzwyczaj różnobarwną. Ampère i Poe, Darwin i Michał Anioł, Marx i Mahomet, Napoleon i Ś. Wincenty à Paulo, Kant i Hegel, są to istoty tak różne, że w żaden sposób nie wolno ich nawzajem utożsamiać. Rzeczą jest aż nazbyt widoczną, iż gienialność w zakresie doświadczania naukowego musi być odmienną od właściwej naturom altruistycznym lub wojskowym, twórczości artystycznej lub grze szachowej. Gdzież w dwudziestoletnich studyach Darwina lub w kombinacyach gry szukać ataku epileptycznego? Jakim sposobem zwyrodniałe żądze epileptyka i niesystematyczność charakteru może pozwolić na mrówczą pracę? D-r Tanzi wypowiada podobne mniemanie, rozpoczynając swój list od filipiki przeciwko mistycyzmowi, sądzącemu, że dla umysłowej działalności bardzo uzdolnionych mózgów istnieją jakieś odmienne prawa, a tymczasem i nią rządzą te same zasady. Nadzwyczaj ostro potępia anegdociarski charakter książki Lombrosa. „Zbiór jego geniuszów zwyrodniałych nie został znaleziony, lecz już od początku *à priori* był ułożony. Sprawdzenie, które usunęłoby z tego zbioru wielu gieniuszów podejrzanej wielkości, oraz uzupełnienie, które do tego orszaku wprowadziłoby wielu innych, zdrowych a spokojnych, nadałyby zgoła inny wyraz temu nagromadzeniu natur patologicznych i skompromitowałyby teoryę. Statystyka antropologiczna wymaga daleko więcej uwagi i sumienności przy zbieraniu materyału faktycznego."

Brak miejsca nie pozwala nam zapuszczać się dalej w wywody d-ra Tanziego, poprzestaniemy przeto na zaznaczeniu różnicy, jaką on przeprowadza pomiędzy gieniuszami „całkowitymi" a „cząstkowymi." Cząstkowemi naturami nazywa on te jednostki, w których rozwinięta jest nadmiernie tylko jakaś jedna władza duchowa: zdolności rachunkowe, muzykalne, improwizacyjne. Otóż przyznaje, że teorya Lombrosa jest co najwyżej słuszna jedynie względem takich okaleczonych okazów jednostronnie wygórowanej zdolności.

W ten sposób starły się z sobą dwa kierunki — jeden twierdzący, że źródłem gienialności jest dziedziczne zwyrodnienie, drugi uważający to za rzecz nieobowiązującego przypadku i tłomaczący często w życiu jednostek gienialnych wybryki i choroby świadomością swojej wyższości i niehygienicznem życiem umysłowem. Jeżeli obóz pierwszy wabi nas ku sobie oryginalnością, natomiast trzeba przyznać, iż tylko drugi czyni zadość wymaganiom ścisłości naukowej.

L.

KRONIKA PRZYRODNICZA.

Nowy pierwiastek. — Promieniowanie w nizkich temperaturach. — Nadnercza i ich znaczenie fizyologiczne. — Środek odmładzający Brown-Séquarda. — Chlorokruoryna. — Zależność śmiertelności od wieku. — Niszczenie ptaków owadożernych we Francyi.— Przyczyny drgań w statku i usunięcie ich.

Dnia 21 kwietnia r. b. Droop Richmond i Hussein Off zakomunikowali Towarzystwu chemicznemu w Londynie o nowo odkrytym metalu, który nazwano *masrium*, od arabskiego wyrazu oznaczającego Egipt. Metal ten jest częścią składową (w ilości 0,2%) minerału, odkrytego przez Johnsona baszę w łożysku pewnej wyschłej rzeki górnego Egiptu, nazwanego zaś *masritem*. Jest to ałun złożony, zawierający oprócz glinu żelazo, kobalt, magnes i masrium. Strąca się (również jak kobalt) siarkowodorem z roztworów zawierających kwas octowy, dając biały siarek i tą drogą był odkryty. Dotychczas znane są tylko jego sole, w których występuje jako dwuzasadowy; własnościami analitycznemi zbliża się do gromady żelaza. Ciężar atomowy jego ma być 228, coby odpowiadało dość blizko próżnemu miejscu w systemie peryodycznym pierwiastków. Ani drogą elektrolizy, ani ogrzewaniem chlorku masrium z sodem nie udało się otrzymać metalu w stanie wolnym.

Od 15 lat Raoul Pictet pracuje nad nizkiemi temperaturami. Urządził on w tym celu pracownię, gdzie 6 maszyn parowych wprawia w ruch przyrządy do skraplania gazów, zapomocą których można przez długi czas podtrzymywać temperaturę od 0° do 200 stopni niżej zera. W maju r. b. zakomunikował on Akademii paryskiej niektóre spostrzeżenia, dotyczące promieniowania. Z doświadczeń tych wypada, że w temperaturach od —80° do —100° ciała wydają promienie cieplikowe, z łatwością przechodzące przez wszystkie, uważane za najgorsze przewodniki ciepła. Ponieważ zaś zdolność pochłaniania równa jest zdolności promieniowania, więc niepodobna ochronić od ogrzewania się ciał oziębionych do tej temperatury. Tak ciało, oziębione do —120°, ogrzewa się również prędko pod podwójnemi lub potrójnemi osłonami, jak i bez nich.

Mało komu znane są oprócz lekarzy i anatomów niewielkie gruczoły, które znajdują się nad nerkami, a które Galen nazwał gruczołami czarnej żółci (glandulae atrabilares), przypuszczając, że wydzielają taką ciecz. Od czasu Galena wiedza nasza o czynności tych organów posunęła się bardzo niewiele; wiedziano tylko, że gruczoły te żadnej czarnej żółci nie wydzielają i że zostają w związku z układem krwionośnym. Rzadka choroba, zwana chorobą Adissona, jest wynikiem ich zapalenia. Dopiero w najnowszych czasach doświadczenia stwierdziły niewątpliwie ważne znaczenie nadnerczy dla życia: zwierzęta, pozbawione tych organów, umierają niechybnie. Abelous i Langlois w szeregu komunikatów do Towarzystwa biologicznego w Paryżu zdają sprawę z doświadczeń nad żabami i innemi zwierzętami, którym organa te niszczono. Najwybitniejszym objawem po usunięciu nadnerczy jest paraliż kończyn, przy zachowaniu drażliwości mięśni. Wstrzykując krew chorych z tego powodu zwierząt zdrowym, którym poprzednio, według Metody Claude-Bernarda, zawiązywano tętnicę, prowadzącą krew do jednej z kończyn, przekonano się, że krew zwierząt pozbawionych nadnerczy działa tak, jak kurara, tj. paraliżuje tylko zakończenie nerwu w mięśniach: mięśnie łapki, do której krew nie była dopuszczona wskutek podwiązania tętnicy, kurczyły się przy podrażnieniu nerwu lędźwiowego; mimika zwierzęcia wykazywała, że i czułość nie była utraconą. Stąd wnoszą autorowie, że rola nadnerczy polega na wyrabianiu substancyi, która znosi paraliżujące działanie na mięśnie ciał wywiązujących się podczas czynności tych organów. Wiadomo oddawna, że znużenie mięśnia pochodzi stąd, iż podczas jego czynności powstaje znaczna ilość ciał takich, jak kwas mleczny, kreatyna i inne alkaloidy zwierzęce, których nagromadzenie przeszkadza dalszej czynności tego organu. Dopiero gdy po upływie pewnego czasu krążenie krwi usunie z mięśnia te produkty jego rozkładu, może on być czynnym na nowo: powiadamy, że mięsień wypoczął. Rozumie się, że przy tem wypłukiwaniu przez krew mięśnia z ciał niepotrzebnych, jednocześnie odbywa się wsiąkanie doń z krwi materyałów pożywczych, które wynagradzają stratę poniesioną podczas pracy. Taki mechanizm regulu-

---

wrącej tam na „nizinach," gdzie poprostu brak środków na taki zbytek, jak delikatność, czystość duszy, prawdziwość, duma... Szkarada! Oburzająco! Jerzy Jonatan ma słuszność: w społeczeństwie należy dokonać przewrotu!

Najtragiczniejszem w tem wszystkiem jest, że bardzo być może — a nawet prawdopodobnie — ta sama dziewczyna przez cały czas młodości swojej najwytrwalszą wiodła walkę, byleby tylko uchronić się od brudu i że też istotnie czystość swoją utrzymała... A oto, gdy jako kobieta zupełnie dojrzała, dzierżąc w dłoni palmę zwycięztwa, godna zaślubić księcia — niema ani jednego człowieka, któryby jej wierzył.

O konwenansie, święty, błazeński konwenansie! Trzeba, ażeby młode dziewczę zawsze przez starą, cnotliwą było strzeżone duennę! Jeżeli uda się zwieść duennę — *tant mieux!* W każdym razie przyszły osieł — małżonek ma swoje „gwarancye."

* * *

Trudno dłużej o tem wątpić. Jest zakochana.

Tego tylko brakowało.

Cóż tu robić?

Nie pójść więcej do tego deptaka. Głowa boli, boli głowa!..

* * *

Znowu straszny ból głowy.

Okropny, ubezwładniający ucisk nad oczyma. Zdawałoby się, że los złożył tu swoje palce i rzekł: dotąd i nie dalej.

Odwaga, wola, myśl, pojęcie — wszystko bezwładnie upada, a ja siedzę i patrzę nieruchomie, ponury, stępiały, patrzę w ten lub inny punkt, który wciąż przybiera kształty lufy rewolwerowej.

Zresztą, szkoda trudu. Jutro, pojutrze i tak padnę. Jak wół, któremu toporem po pysku przejechano.

* * *

Młodzieńcza nieroztropność.

Chodzi i szuka się kobiety, po drodze popełnia się jednakże tyle głupstw, że znalazłszy wreszcie upragnioną, czyni się jeszcze najlepiej, dając jej spokój.

Spaczone życie! Spaczone życie! Chodźcie tu barwy żałobne i ty żałobna krepo! Tu jest coś więcej, aniżeli pogrzeb.

XIX.

Panna Bernes przyjechała do miasta; pewnej niedzieli spotkałem ją u Klema, który jest jakimś jej niby — kuzynem.

Tu zamieszka. U pastora Löchena, żonatego z jej siostrą cioteczną, czy czemś w tym rodzaju.

Spotkanie z nią było mi wcale przyjemne. To przynajmniej dama! Niezaprzeczenie dama! Istota, mieszkająca na wyższem piętrze, gdzie jest słońce i świeże powietrze. Jeżeli *ona* miała w życiu jakąś awanturę, to można być pewnym, że to awantura, za którą odpowiedzieć umie, albo taka, która dostatecznie jest ukryta.

Światła, czystego powietrza! Spokoju! — owej wielkiej pewności! Straszne to, osuwać się w swe „niziny."

Precz od tego wszystkiego! Dalej, wrócić do światła, do słonecznych wybrzeży!

„Kędy wody igrają, wody ciepłe, świetlane..."

* * *

26 marca.

Wykreślam ją.

Mam jedno tylko objaśnienie: jest najprzebieglejszą komedyantką.

To, co dziś wieczorem o niej słyszałem, jednem pchnięciem wydarło mi z piersi wszystkie przyjazne dla niej uczucia, cały dla niej szacunek. To bolało, drga tam wewnątrz i boli jeszcze. Nie wiedziałem, że stała mi się tak drogą. Śmieszne, rozpaczliwe. Ale dobrze, że minęło.

Że też tego nie pojmowałem! Rachunek był taki prosty, jak reguła trzech. Objaśnił mi to zadanie człowiek, który zna stosunki owych sfer. Przy ośmdziesięciu koronach miesięcznie przyzwoita dama ledwie wyżyć może; cóż dopiero przy czterdziestu?

je przychód i rozchód substancyi w tych organach, które, będąc zależne od woli, łatwo by mogły uledz nadużyciom, tj. nadmiernemu wyczerpaniu, niedającemu się już wynagrodzić. Ale substancye tamujące, że tak powiem, przystęp woli do mięśnia, przez sparaliżowanie zakończeń nerwów, nagromadzając się w krwi, spowodowałyby ostatecznie paraliż całego organizmu, gdyby nie były zniszczone lub zobojętnione działaniem nadnerczy. Wywody Abelousa i Longlois zostały stwierdzone przez Albanesego w Turynie, który zrobił spostrzeżenie, że zwierzęta pozbawione nadnerczy nie mogą znosić znużenia i umierają bardzo prędko, jeśli mięśnie ich zmuszać do energicznych skurczeń. Wreszcie Brown-Séquard zakomunikował w Tow. biologicznem, że objawy paraliżu u zwierząt pozbawionych nadnerczy ulegały osłabieniu po wstrzyknięciu wyciągów wodnych z wyciętych gruczołów, oraz że wstrzykiwanie to opóźniało śmierć. Dalsze doświadczenia okażą, czy rzeczywiście już jesteśmy w posiadaniu tajemnicy tego przez tak długi czas zagadkowego organu, i czy rola, którą mu przeznaczają, wyczerpuje całą jego czynność.

W r. 1869 Brown-Séquard po raz pierwszy wypowiedział zdanie, że gruczoły wydają wydzieliny wewnętrzne, które są użyteczne lub konieczne dla organizmu. Przypuszczając, że osłabienie starców nie jest wynikiem tylko wyczerpania organów, ale pochodzi z braku substancyj, które w znacznej ilości udzielają się krwi przez gruczoły rozrodcze w wieku młodym i podtrzymują właściwą temu wiekowi energię, wpadł on na myśl zastąpienia tego braku przez wstrzykiwanie do krwi cieczy, wydobytej z podobnych gruczołów zwierząt. Podając obecnie w Akademii wyniki trzyletnich doświadczeń w tym kierunku, znakomity fizyolog zaznacza wpływ wzmacniający tych wstrzykiwań na mózg i rdzeń kręgowy. Działanie to trwa niekiedy miesiąc i więcej po przerwaniu wstrzykiwań. Nie możemy sobie w żaden sposób wytłomaczyć działania tego środka; to tylko stwierdza Brown Séquard, że nie polega ono na podniecaniu, na wprawieniu w czynność sił poprzednio nagromadzonych, co zawsze pociąga za sobą większe wyczerpanie. Tego osłabienia, jakie następuje po użyciu rozmaitych środków podniecających, nie zauważono nigdy w doświadczeniach z cieczą Brown Séquarda. Liczni lekarze, którzy stosowali ten środek stwierdzili jego skuteczność: 1) w starości, gdy słabe wydzieliny gruczołów rozrodczych nie mogą podtrzymywać układu nerwowego w stanie normalnym; 2) we wszystkich chorobach powodujących osłabienie i wycieńczenie zwłaszcza zaś w suchotach płucnych, w anemii, trądzie, paraliżach itd. *).

Wiadomo, że w skład ciałek czerwonych krwi zwierząt kręgowych wchodzi związek zawierający żelazo i nadający im właściwą barwę, t. zw. hemoglobina, której przeznaczeniem jest roznoszenie tlenu po tkankach organizmu. Hemoglobina łatwo się łączy z tlenem i równie łatwo go oddaje; więc gdy krew przepływa przez płuca, ciałka czerwone zabierają zapas tego gazu, aby go następnie oddać tkankom, kiedy krew przebiega po naczyniach włoskowatych rozmaitych organów. Analogiczne z tem ciało odkryto w krwi niektórych robaków (*Sabella*) i nazwano *chloro-kruoryną*. Według poszukiwań Gryffiths'a ciało to, również jak i hemoglobina, istnieje w dwóch odmianach: nasycona tlenem i pozbawiona tego gazu. Wzór jego miałby być C_{560} H_{845} N_{143} Fe S_3 O_{167}; zawiera więc podobnie do hemoglobiny żelazo. Pod działaniem kwasów i alkalij daje, jak i hemoglobina, hematynę. Są to pierwsze kroki na zupełnie prawie nietkniętem polu fizyologii chemicznej niższych zwierząt.

Studyując śmiertelność we Francyi Delauney przyszedł do następujących wniosków: 1) przyśpieszenie śmiertelności wzrasta od 16 do 32 lat i od 54 do 82; ubywa od 1 do 16, od 32 do 54 i wyżej 82 lat; 2) żywotność ma się odwrotnie; a więc najprzyjaźniejszemi dla człowieka epokami życia, tj. takiemi, w których szansa śmierci jest najmniejsza, są czas od 1 do 16 lat, od 32 do 54, oraz wyżej 82. Lata te zdają się w sposób naturalny dzielić życie ludzkie na epoki: dzieciństwa od 1—16; młodości od 16—32; dojrzałości 32—54, wieku podeszłego od 54—82 i starości 54—82.

Raspail, badając przyczyny stopniowego znikania ptaków owadożernych, tych najlepszych przyjaciół rolnika i ogrodnika, zebrał dane wykazujące, że za główne źródło tego wysoce niepomyślnego zjawiska uważać należy nie wyniszczanie gniazd przez dzieci i koty domowe, jak mniemają niektórzy (chociaż i ten czynnik musi wywierać niemały wpływ), ale barbarzyńskie zwyczaje ptaszników. Sidełka, zwane *la raquette*, a używane w niektórych departamentach wschodnich, chwytają ptaka za nogi i przytem najczęściej miażdżą je, tak że ptasznik zastaje go już nieżywym. W ten sposób wytępiono w ciągu 2-ch miesięcy w lasach komunalnych departamentu Meurthe et Moselle 15,544 ptaków, z których 13,000 należało do najlepszych niszczycieli owadów. Dzieje się to wbrew przepisom prawnym przy zupełnej obojętności władz. Obliczając według tych danych, w całym departamencie niszczonoby 1,146,000 ptaków w ciągu jednego lata.

W departamentach środkowych masowo niszczą się skowronki, które uchodzą za dobrą dziczyznę wśród smakoszów paryskich; na południu wreszcie miliony skrzydlatych przyjaciół roli zostają zabite gwoli dzikiej modzie noszenia ptasich głów i skrzydeł na kapeluszach. Wszystko to dzieje się z ogromną szkodą rolnictwa. Dla tego też Raspail zwraca się do ministeryum spraw wewnętrznych, wymagając surowego zastosowania praw przeciw polowaniu, dla ochrony tych najlepszych przyjaciół człowieka.

Donosiliśmy w jednym z poprzednich numerów *Prawdy* o wynalazku Thornycrofta, usuwającym kołysanie się okrętu na morzu, powodujące osobną chorobę. Yarrou za pomocą przyrządu osobnego, zwanego wibrometrem, zbadał przyczynę nieprzyjemnych drgań, odbywających się podczas działania maszyny parowej na statku. Drgania te nie są wynikiem działań szruby, jak sądzili niektórzy, lecz samej maszyny parowej. Pochodzą one stąd, że na dno walca działa pewnien nadmiar ciśnienia podczas ruchu tłoka, który dąży do podniesienia statku podczas jednej połowy obrotu osi i do jego zagłębienia podczas drugiej. Zapomocą systematu przeciwwag zdołał Yarrou zmniejszyć do $^1/_4$ siłę tych drgań.

Wł. M. K.

*) Z powodu wzmianki w poprzednim numerze *Prawdy*, że nikt dotąd nie zbadał ściśle teoryi Brown-Séquarda otrzymaliśmy broszurę dr. A. Puławskiego („Spostrzeżenia kliniczne nad wstrzykiwaniem soku jądrowego," Warszawa 1891), w której autor po szeregu prób i doświadczeń dochodzi do wniosku, że „żadnego swoistego, dającego się przedmiotowo stwierdzić wpływu na układ nerwowy i wogóle na ustrój wstrzykiwania emulsyi z jąder zwierzęcych nie posiadają," oraz że „podmiotowe uczucie sprawności niektórych funkcyj po wstrzykiwaniu daje się sprowadzić do wpływów natury czysto psychicznej (suggestyi); podobne podmiotowe polepszenie może być niekiedy wynikiem gorączki." *Red.*

Ha ha! Teraz rozumiem wszystko, czego dawniej pojąć nie mogłem. Ta pewność, to doświadczenie, to „igranie z ogniem," ta śmiałość, z jaką pozwala się wlec wszędzie przez człowieka złej opinii — naturalnie! Nie miała przecież nic do stracenia. Cóż *takiej* szkodzi, jeżeli się ją niespodzianie zaskoczy natręctwem? Przyzwyczajona do tego. Wie, jak traktować podobną sytuacyę; wszystko zależy tu tylko od *jednego* pytania — od ceny!

Boże uchowaj! Jak się cała ta istota w oczach moich przeinacza, staje się czemś brzydkiem i smutnem zarazem! Umiera dla mnie i zostaje mi zamiast niej tylko — trup.

Jakiś cień przyzwoitości zachowała, boć i jej przecież zdarzała się jeszcze możliwość głupca — męża. A oczywiście długą ma wprawę w udawaniu cnoty. (Cnota prawdziwa mniej silne wywiera wrażenie, aniżeli udana, podobnie jak sztuczne brylanty więcej od prawdziwych mają ognia. Uważała mnie za dość naiwnego i dość dalekiego od dawniejszego jej życia, aby zaryzykować i sieć na mnie zarzucić! Boże, jakże z szacunku mego po cichu śmiać się musiała!)

Czy lepszym od niej —ja, który kupowałem od niej, która sprzedawała? Frazesy. Po wieczne czasy trwać będzie przepaść między tymi, którzy kogoś używają, a tymi, którzy dają się używać; żadne gadanie przepaści tej nie zakryje.

Taki jestem zmęczony i zimny i — wewnątrz zbrukany. Ręka drętwieje mi w górze; pismo staje się paralitycznem.

Śmieszne. Obrzydliwe. Cóż mnie to wszystko obchodzi — u djabła? Porządnego Whiskypioltera *).

XX.

Nie wiedziałem, że stała mi się tak drogą.

Chodzę, jak człowiek zbity — do upadku sił, jak człowiek — wstydem tknięty. Jak gdybym dowiedział się, że matkę moją zamknęli w Vosserangen z powodu zatajonego porodu. W jednej chwili wyłbym z bólu. w następnej — ogarnia mnie wstyd.

Niemiła mieszanina uczuć. Niepodobna ulżyć sobie — ani przez smutek, ani przez pogardę. Duszę się; dusza moja leży we mnie i chciwie chwyta powietrze; walka z wężami pod wełnianą kołdrą. Gorączka w stanie przytomnym — gorące poty i dreszcze — naprzemian.

Nie śmiem spojrzeć ludziom w oczy. Ha ha, patrzcie, to on, on, co to miał awanturę z tą „piękną" z półświatka. Ha ha! Już, już miał prosić tę *dame soutenue* w *optima forma* — o serce i rękę, haha! Hahaha! ci starzy kawalerowie!

Nie mogę nie biczować się tymi skorpionami. To siedzi, pali, to taka obrzydliwa rozkosz... — jak drapanie się — przy chorobie skórnej.

Szczęście, że panna Berner przyjechała. Spieszę do niej jak do zbawienia mego. Ona wyciągnie mnie znowu w górę, tam, gdzie jest powietrze, czyste powietrze.

Umie prowadzić rozmowę; ubiera się ze smakiem; używa wykwintnych perfum... Tu mam pewność, harmonię, czystość; niema mowy o tem, aby drżeć tu ze strachu, że na sukni znaleść się może plama z wina...

Chwytam się tego oburącz. Porównywam i gwałtem, siłą wyszukuję wszystkie dodatnie strony. Że nie jest młodą i właściwie piękną — przebaczam, bo jakąż to wreszcie ma wartość? Cenię to, że wierzyć jej można, że godna jest zaufania, cenię — czyste akordy; wstrętna mi jest ta piękna bez wewnętrznej gwarancyi, ta piękna — bez pachnideł wykwintnych.

(D. c. n.).

*) Piolter — mieszanina z cognacu, wódki itp. i wody selcerskiej.

LITERATURA I SZTUKA.

IMPRESYONIŚCI.

Juliusz Lemaitre.

Lemaitre jest uczniem Renana i właściwie mówiąc, rozwinął tylko do ostateczności sceptycyzm mistrza. Już dla tego ostatniego prawda jest „kokietką, która się wciąż obiecuje, a nigdy nie oddaje,“ granice zaś między dobrem a złem znacznie się zatarły, przynajmniej ze strony formalnej, gdyż wartość człowieka określa się dlań sercem, a nie postępkami. Nawet dokryny dla Renana znaczenia nie mają: można być „świętym,“ niezależnie od wiary, jaką się wyznaje. Dobro polega na szlachetności dążeń, uczuć, niezależnie od tego, jak się objawiają. Cnota jest to „zadośćuczynienie osobiste, które zrobić sobie można, wybierając sprawę szlachetną, ale któżby się ośmielił radzić je innym?“ — powiada Renan w jednym ze swych dyalogów. Z tego punktu widzenia prawdą staje się sama chęć i proces poznawania, niezależnie od rezultatów i ich sprzeczności. Dobro zaś i piękno mają dla Renana znaczenie gustów osobistych, zmiennych między jednostkami i w każdej jednostce z osobna. Mistrz sceptycyzmu współczesnego hołduje humanizmowi w najobszerniejszem znaczeniu, z lekką pogardą dla świata otaczającego, która prowadzi do powszechnego optymizmu i pobłażliwości. W Lemaitrze wszystkie te cechy doszły do zupełnego rozkwitu, przyczem smak rozkoszy Renana zmieszał się ze szczyptą cynizmu, który ratują uroki stylu: dość spojrzeć na zmysłową, Rabelais'owską twarz krytyka, aby mieć objaśnienie tego rysu. Nasz impresyonista także uważa prawdę za zmienną, zależną od nastroju, od obiadu, któryście zjedli i nie chce sobie ścieśniać horyzontów żadnemi normami, ani formułkami. Odrzuca możność istnienia krytyki naukowej, a jednak jego analizy psychologiczne bardzo mało się różnią od tych, które nam Bourget lub Taine dają.

Skądinąd nazwano Lemaitre'a kusicielem, który zabija radość, czyn, spokój duchowy i pewność życia moralnego. Jesteśmy tu rzeczywiście w pełni sofistyki ateńskiej. W literaturze stanowisko to doprowadziło go do wyrażania sądów sprzecznych z wyzywającą łatwością i znaczną dozą kokieteryi, w kwestyach moralnych musiało ono wywołać zarzut przewrotności, częścią usprawiedliwiony. Wiary pozytywnej Lemaitre nie posiada, ale za to wiele sympatyi do chrześcianstwa. Jego bohaterowie dają się chrzcić, jakkolwiek są ateuszami, ze zblazowania. Jeden z jego męczenników jest nawet niewierzącym — co zresztą nie przeszkodziło, aby był kanonizowany, a jego zwłoki wywoływały cuda. „Ciekawość religijna — według niego — jest w naszym wieku jednem z uczuć najbardziej dystyngowanych. Nie trzeba jednak sądzić, iż znieczulenie moralne doszło u Lemaitre'a do takiego stopnia, jaki widzieliśmy, bynajmniej, sadzi się on na to i pozuje na egoizm, oschłość serca i mizantropię, która cieszy się ze swych gorzkich spostrzeżeń i zamyka w pogardzie dla ludzi. W gruncie rzeczy jest to wszakże baranek w wilczej skórze, który robi wszystko, co może, aby tylko ukryć dobroć swego serca. Cynizm, sceptycyzm i kusicielstwo wytworzone w nim zostały przez zajęcie literata: z obawy, aby nie uchodzić za prostaka, rzuca się często w krańcowość odwrotną i pozuje na „przewrotność.“ Jest daleko mniej „zepsuty,“ niżby się wydawać mogło. Z poza wilczej maski wychyla się wciąż przyrodzona dobroć, która zdaje się wołać: „Tylko nie myślcie czasem, że ja jestem barankiem.“ Nie jest obojętny na otaczające go krzywdy. Walczy z niemi, wprawdzie w imię oklepanych przykazań cnoty mieszczańskiej, ale zawsze walczy. Najlepszym dowodem, rozkrywającym całą tę, nieświadomą może, komedyę, jest ta okoliczność, iż pomimo wielkich starań, z jakiemi Lemaitre sadzi się na pobłażliwość, tę cechę dusz znużonych, zdobyć się może tylko na litość, oznakę naiwnych i młodych, jeżeli nie przebiegłych. Ale o tego rodzaju przebiegłość trudno naszego krytyka posądzić. Istotnie litość, czy ona jest chęcią wyrażenia naszej władzy, czy wywyższenia się nad biedakiem, czy obawą podobnych nieszczęść dla nas samych, czy szukamy w niej porównania, które łechce naszą miłość własną, czy też dostarczamy rozkoszy naszej dumie i próżności — zawsze znajdujemy w tem uczuciu egoizm najelementarniejszy, ale dobrze zamaskowany, co go zresztą nie tylko nie uszlachetnia, lecz, przeciwnie, upadla, gdyż wyzyskuje on w ten sposób głupotę, otrzymując od niej jeszcze pochwały. To, że osoby litujące się robią sobie zupełnie inne iluzye i mogą nie rozumieć istotnego charakteru swego uczucia, niczego nie dowodzi: można umrzeć, nie wiedząc, co to jest „proza,“ jakkolwiek się całe życie mówiło tylko prozą. Złudzenia takie mają ludzie naiwni, ale podszywanie się pod nie, znając istotny ich charakter, wymaga przewrotności, o którą Lemaitre'a nie sposób posądzać. Litość demoralizuje nietylko tego, co daje, podnosząc go na niezasłużony piedestał, ale jeszcze bardziej tego, co bierze. Czuje się on naraz zmniejszony, poniżony. Litość rozbiera nieszczęśliwca z oburzającą łatwością i on musi pozwolić, aby kto inny odegrał w jego życiu rolę losu. Biedak ma umrzeć z głodu i naraz zjawia się ktoś, co zmienia pochód nieubłaganego fatum i utrzymuje go przy życiu: stanowi on w ten sposób podnóżek, po którym kto inny wspina się, nie wiadomo dokąd i dlaczego. Ale śledźmy dalej rozwój tego szlachetnego uczucia. Dobroczynność jest uczuciem powagi w pełnem znaczeniu tego słowa: żądamy od tego, komu jej udzielamy, aby był takim, jak my chcemy, ale na ofiary swe wywiera ona jeszcze inny wpływ. Przyjmujący datek — w jakiejkolwiek zresztą formie — czuje się odrazu poniżony i tem budzimy w nim naturalną chęć zemsty, któraby powinna występować bezpośrednio, jako niewdzięczność — zjawisko na każdym kroku obserwowane. Ale dla wymagań etyki, chęć zemsty musi nieraz przejść naprzód przez kilka retort psychologicznych, aby stamtąd wyjść czysta, jak łza i zabójcza, jak jad. Takim szczytem zemsty, jej ekstazą, że tak powiemy, jest przebaczenie. Pan gnębi niewolnika — człowiek wolny, z rozwiniętem poczuciem godności wystąpi z bronią w ręku i żądać będzie zadośćuczynienia. Tak czynił jeszcze Spartacus, ale ta droga okazuje się niedogodną. Niewolnik zacznie się czołgać, puści w chód dyplomacyę chytrości i na obrazę odpowie — przebaczeniem! On, nędzny, słaby odpowiada silnemu, potężnemu, tą bronią, która jest największem wyrafinowaniem zemsty. A jeżeli chcecie, to posunie się jeszcze dalej i lizać będzie rękę, która go bije: tutaj kryje się niewątpliwie jedno ze źródeł wdzięczności. Człowiek, nad którym się litujemy, któremu wyświadczamy dobrodziejstwo, czuje się pokrzywdzonym i poniżonym, aby odpłacić, przebacza wam wyrządzoną mu obelgą, on nie tylko wam przebacza, on wam jest jeszcze wdzięczny! Przyjąć dobrodziejstwo — to znaczy chwilowo upaść. Przez wdzięczność odbudowujemy równowagę. Upadły rehabilituje się przed sobą, dobroczyńcą i ludźmi.

Zastanowiliśmy się dłużej nad temi uczuciami, gdyż one rzucają całe potoki światła na psychologię Lemaitre'a i całego legionu mu podobnych. Nie są to dusze znużone, dla których pobłażliwość jest przyznaniem własnej niemocy, nie są to pesymiści — mizantropi, u których dobroć ma zawsze odcień pogardy, prowadzącej ich często do pobłażliwości, również jak nienawiść do litości; są to zwykłe dobroduszne duszyczki, pozujące chętnie na filozoficzną pobłażliwość, przyczem zawsze prawie otrzymuje się najbanalniejsza litość z szeregiem pochodnych uczuć, w całym przepychu ich pierwotnego, acz nieświadomego egoizmu.

Wogóle jest to sobie „bon enfant, viveur,“ który się drapuje w płaszcz dekadencki: ma to być zblazowany sceptyk, pesymista, obojętny arystokrata ducha, chcący się oderwać od stada ludzkiego, żądny rozkoszy i boleści rzadkich, szukający pociechy jedynie w użyciu artystycznem. Ciekawem zjawiskiem wobec tego jest zaklinanie się Lemaitre'a na wszystkie artykuły mieszczańskiej cnoty. „Jednym — oświadcza, mówiąc o sobie — potrzebna jest sankcya religijna dla robienia dobra, inni znajdują dostateczne powody we własnem sumieniu.“ Otóż tu Lemaitre niewątpliwie się myli: jest to oświadczenie co najmniej dziwne w ustach człowieka, który rozbija swój namiot we wszystkich obozach, który nigdy nie otrzepywał swych cnotliwych sandałów z pyłu przydrożnego i który przeszedł już wszystkie najbardziej kompromitujące powinowactwa i wspólnictwa z lekkością, którą nawet kokieterya nie zawsze ratuje. Weźmy najlepszy wypadek, iż czynił to wszystko nieświadomie, to i w takim razie sumienie jego przedstawi się nam w formie szmatki, poszarpanej na niezliczone strzępki i włókna. Jest to zjawisko ściśle związane z przesileniem etyki, które znakomicie wyświetlił największy ze współczesnych moralistów, Guyau. Chciano ją niegdyś oprzeć na strachu, albo też dać jej za podstawę oczekiwanie kary lub nagrody nadzmysłowej — rozwijające się poczucie godności ludzkiej czyni wszakże to stanowisko coraz słabszem. Następnie filozofia chciała znaleźć punkt oparcia dla etyki w naturalnie rozwijających się popędach duszy ludzkiej, co było słuszne, ale czyniło jednostkę ślepem narzędziem w ręku siły, od niej niezależnej. Dopóki człowiek nie znał grzmotu i błyskawicy, mógł im podlegać i ubóstwiać. Z chwilą wszakże, gdy je opanował, tego rodzaju stosunek musiał pierzchnąć. To samo dzieje się z wewnętrznemi siłami duszy ludzkiej. Dopóki reakcya po pewnych czynach następowała w całej grozie swej bezpośredniości, człowiek ślepo im się poddawał. Ale z chwilą, gdy tajemnicze procesy, odbywające się w tym mglistym świecie o głuchych szmerach, który nosimy w sobie, stają się coraz bardziej przejrzyste, gdy człowiek zaczyna przeczuwać, iż nad tym światem także zapanuje i że instynkty przestaną grać rolę ślepych sił natury, znajdując się pod zwierzchniem kierownictwem świadomości, etyka nie będzie mogła się opierać nawet na obawie reakcyj wewnętrznych, ale w zupełności na świadomem przekonaniu moralnem. „Czynię dobrze nie dlatego, abym był pod jakimkolwiek przymusem, nie z obawy nawet samego siebie, lecz dlatego, iż zupełnie świadomie *chcę* tak czynić“ — oto dewiza przyszłości, która, zdaniem Guyau, będzie miała za podstawę dążenie każdej jednostki do życia najbardziej rozległego i natężonego. Takie wszakże moralne przekonanie wymaga od każdej jednostki, aby wypracowała sobie pewne ideały społeczne i dążyła do ich urzeczywistnienia. Niestety, dekadencya mieszczańska drogą analizy doszła już do odrzucenia żywiołowych podstaw etyki, nie wystawiła jednak żadnych samodzielnych, opartych na przekonaniu. Można więc łatwo zrozumieć całą potęgę jej wahań i szamotania się, która się mieni wszystkiemi barwami upadku i prostytucyi duchowej, jak to widzieliśmy na Baudelaire'ze, Verlaine'ie, Goncourt'ach, France'ie i in. Otóż Lemaitre bardziej, niż kto inny, czyni wrażenie prostytutki literackiej. Obawa przekonań, jako więzów ścieśniających indywidualizm, jest w nich wszystkich nie-

przeparta, ale mogłaby wychodzić ze smaku czynu, który wart jest każdego innego, a poetycznie był treścią wielu genialnych utworów. Niestety, ubiegając się za zrozumieniem i przyswojeniem wszelkich smaków, pisarze francuscy, prawie wszyscy, ten jeden zostawiają odłogiem. Objaśnia się to bezwładem woli, który Lemaitre'a charakteryzuje, również jak i France'a, jak i wszystkich pozostałych. Tym sposobem znajdują się oni w położeniu bez wyjścia: gdyż tylko smak czynu, wyrażając się praktycznie o pewnych ideałach, mógłby stanowić czynnik syntetyczny, łączący w jedną jakąś wyższą całość rozproszone okruchy ich myśli i uczuć — obecnie tym czynnikiem syntetycznym jest tylko chęć zarobku, a ona w żaden sposób tego błądzenia po wszystkich drogach duchowych usprawiedliwić nie może i nadaje twórczości Lemaitre'a i jego towarzyszów jakiś odcień prostytucyi duchowej w oczach najszerzej patrzących ludzi.

Tyle o ogólnym nastroju duchowym Lemaitre'a. Oddzielnych jego poglądów przytaczać nie będziemy, są one zbyt zmienne i faliste, opisują zwykle krzywą, która przeszedłszy przez dwie krańcowe sprzeczności, wraca do punktu wyjścia. Filolog o dość znacznej erudycyi, posiada Lemaitre wszystkie elegancye stylu giętkiego, przezroczystego i wytwornego, a także wszystkie czary poezyi, która opromienia bujną roślinność uczuć i wrażeń, starannie przez autora hodowanych. I jeżeli kiedykolwiek absurd o krytyce, jako działalności artystycznej, mógłby mieć zastosowanie, to tylko w Lemaitrze. Wogóle zaś krytyka jest tyleż działalnością artystyczną, co fizyka lub psychologia: sztuka, wdzierając się do wszystkich dziedzin życia, przenika i do nauki, wywiera ona swój wpływ nawet na tak prozaiczne dziedziny wiedzy, jak medycyna. Ale pomimo to nauka pozostaje nauką i krytyka niewątpliwie do tej ostatniej kiedyś należeć będzie.

L. W.

EMERYK MADACH

i jego tragedya.

(Dokończenie).

W obrazie następnym widzimy ów ideał swobody, o którym marzył król egipski, urzeczywistniony w rzeczpospolitej ateńskiej. Pokazuje się, że pod wolnością tą kryje się ucisk najokropniejszy, tyrania — motłochu. Milcyades wraca z wojny, którą prowadził zwycięzko, a zamiast wynagrodzić go, tłum ateński, obawiając się, aby wódz szczęśliwy nie stał mu się panem, skazuje go na śmierć. Rozumie się, że w Milcyadesie siedzi znów Adam, a w żonie jego, szlachetnej niewieście ateńskiej, złorzeczącej ślepemu pospólstwu — Ewa. Jest też w pobliżu Lucyfer w postaci kata. I znów przy końcu wszyscy zdejmują maski, a Adam, oburzony niesprawiedliwością, która go spotkała, wzywa Lucyfera, aby mu ukazał żywot inny, gdzie zamiast mrzonek szlachetnych obierze jako hasło nowe: rozkosz ziemską bez granic i szał rozpustny.

Następuje więc z rzędu orgia rzymska. Adam jako patrycyusz Sergiolus zabawia się z oblubienicą swą Julią (Ewą) w towarzystwie heter i rozpustników krwawem widowiskiem gladyatorów, walczących z sobą, swawolnym tańcem niewolnic, gdy odrazu zjawia się przed portykiem domu pochód żałobny chrześcian, którzy wśród śpiewów uroczystych wiodą zmarłego na wieczny spoczynek. Biesiadnicy pijani winem i rozpustą wymyślają żart okropny. Jedna z pośród heter zbliża się do trumny i kładzie na sinych ustach trupa pocałunek sprośny. Wtem upada, jakby piorunem rażona, wijąc się w boleściach śmiertelnych. Człowiek ów umarł był na dżumę. Wśród popłochu przerażonych gości staje teraz przed Sergiolusem starzec sędziwy, który wysunął się z gromady chrześcian. Jest to apostoł Piotr. Słowa jego spadają jakby gromem na zmieszanego młodzieńca, a gdy apostoł ukazuje mu wreszcie obraz świata nowego, mającego powstać na gruzach państwa rzymskiego, wtedy Sergiolus skruszony korzy się przed znakiem krzyża, jaśniejącym promiennie nad owem widzeniem i rozpoczyna wspólnie z kochanką swą żywot nowy, chrześciański.

Lecz i na tej nowej drodze ostatnim kresem jest rozczarowanie. Widzimy tedy w dalszym obrazie, jak rychło ludzkość straciła z oczu właściwą treść krwawo okupionej wiary i jak w Bizancyum świat chrześciański zajmuje się próżnemi kłótniami teologicznemi. Adam występuje tu w roli rycerza Tankreda, wracającego z wyprawy krzyżowej i niemogącego prostym naiwnym swym rozsądkiem pojąć tych sporów zażartych, których przedmiotem jest jedynie różnica między „homouzyą“ a „homoiuzyą,“ a więc jedna tylko litera. Miejsce to nie świadczy zresztą zbyt korzystnie o wiadomościach historycznych poety węgierskiego. Popełnia on tu anachronizm, gdyż między owym sławnym sporem aryańskim a wyprawami krzyżowemi leży prawie dziesięć wieków!

Z Bizancyum dostajemy się do Pragi. Adam jest tym razem znów astronomem Keplerem, przedstawicielem nauki nowoczesnej, którą w ciszy laboratoryum chce ukoić bóle serca, tęskniącego za wiarą straconą, zagłuszyć pragnienie szczęścia, którego świat ówczesny zaspokoić nie potrafi. Lecz daremnie zamyka się Adam przed tym światem, czuje on w końcu wyraźnie, że tylko czyn odważny przynieść mu może zbawienie. Prosi tedy Lucyfera, aby go poprowadził o krok dalej.

Krok to potężny, bo stawia nas odrazu wśród rewolucyi francuskiej. Tu dzieją się owe czyny, które mają odrodzić ludzkość nowoczesną. Adam ginie jako Danton pod gilotyną, przypłacając życiem wiarę w nowe idee, w których imię leje się krew dokoła strumieniem.

Lecz czy idee te wydadzą też owoc, tak drogo z góry opłacony? Odpowiedzi na to szukać musimy w obrazie następnym, wziętym z życia współczesnego. Wśród tłumu ulicznego w Londynie znajdujemy znów Adama w postaci robotnika, która przyglądał, aby przypatrzyć się swobodnie cywilizacyi naszego stulecia. I cóż widzi? Oto nędzarza, którego wiodą na szubienicę, ponieważ zemścił się na bogaczu, co uwiódł mu żonę, Ewę, która odwraca się od niego z oburzeniem, gdy zbliża się do niej w kurtce robotniczej, a wdzięczy się znów do niego, gdy usłyszała, że jest lordem przebranym — przekupność i demoralizacyę u słabych, cynizm i brutalność u silnych. Więc i od tego widoku odwraca się z oburzeniem.

Rezultatem dotychczasowej historyi ludzkości jest więc — zero. A czegóż należy oczekiwać od przyszłości? Widzimy to w dalszej scenie, która przedstawia nam świat przyszły w postaci olbrzymiego falansteru. Ludzkość urzeczywistniła wreszcie swe ideały i równość, wolność, dobrobyt ogólny, ale okupiła to drogo. Rządzą nią uczeni, a jeden z nich oprowadza Adama i Lucyfera właśnie po olbrzymiej sali maszyn, tłomacząc im nowy ustrój społeczny. Prowadzi ich wreszcie do muzeum, gdzie pokazuje im pod szkłem okazy dawnych zwierząt, psa i konia, dziwne stworzenia, o których przywiązaniu do człowieka przechowały się bajki w książkach starych przyrodników. Rodzaje te wymarły już dawno, a usługi, oddawane niegdyś przez nie ludzkości, spełniają obecnie o wiele lepiej maszyny. Przewodnik Adama pokazuje mu też ostatnią różę, która kwitła na ziemi, następującemi słowy: „Chwast ten zabierał wówczas bezkarnie miejsce roślinom pożytecznym, jarzynom i zbożu. Tak to ludzie ówcześni lubili się bawić! W owych to czasach nawet z umysłu ludzkiego wyrastały kwiaty równie zbyteczne, jak ta róża: religia i poezya. Wyczerpały one siły, które teraz służyć muszą istotnym celom ludzkości...“ Wtem odzywa się głos dzwonu. To znak, że przyszła pora wypoczynku, w której załatwiają się również sprawy, dotyczące interesów ogółu. Oto dwoje dzieci: uczony nasz wyznacza im zawód przyszły. Jedno z nich będzie lekarzem, drugie pastuchem. Tu znów dwie kobiety są do wydania, więc wzywa się konkurentów, aby się zgłaszali. Jedną z tych kobiet jest Ewa, w której Adam zakochał się odrazu. Żąda więc jej ręki, ale gdy oświadcza, że czyni to z miłości, uczeni załamują ręce ze zdziwienia. Miłość? — toć to rzecz zupełnie nieznana w tym świecie! Uchwalają tedy, że człowiekowi, któremu widocznie brakuje klepki w głowie, nie można powierzyć kobiety, a gdy Ewa, u której tymczasem również zbudziło się uczucie, rzuca się w objęcia Adama, trybunał uczonych każe w końcu odprowadzić parę zakochaną — do szpitala.

Zatrzymałem się nieco dłużej przy tym obrazie, gdyż daje on dokładną miarę głębokości zdań, których można spodziewać się po Madachu. Nie możnaby zaiste wymyślić lepszej karykatury dla banalnego pesymizmu, którym tchnie cały poemat, niż to właśnie miejsce.

Skończmy teraz w kilku słowach dalsze streszczenie. Szereg obrazów zamyka scena, przedstawiająca ostatnie dni ludzkości na ziemi wymarzłej, pokrytej śniegiem i lodem. Potomkowie Adama i Ewy doszli wreszcie do kresu swych cierpień i — pierwsza para ludzi budzi się ze snu ciężkiego, w którym tak straszne dręczyły ją widzenia. Wiedzą oni teraz, co ich czeka, znają bezowocność prac i wysiłków, nie mogą dłużej łudzić się nadzieją. To też Adam nie waha się ani chwili. Jedynem wyjściem jest dlań — samobójstwo. Kroczy on już ku przepaści, która pochłania ciało jego, gdy wtem Ewa, chwytając go za ramię, szepcze mu coś do ucha. Czuje się ona matką. A ów Adam, przed chwilą tak dumny i pewien siebie, upada płacząc na kolana i przyjmuje w pokorze na się ciężar żywota. Zwrotem tym nagłym, wzruszającym wprawdzie, ale niczem nieusprawiedliwionym i niedającym się żadną miarą pogodzić z tem, co poprzedza, kończy się poemat Madacha.

Gdyby mi przyszło określić dziwaczny ten utwór w kilku słowach, powiedziałbym że jest on co do myśli pracą gimnazyasty, co do formy dziełem prawdziwego i wybitnego poety. Węgrzy, którzy wedle słów Mauryccgo Jokaja, są „dumni z Madacha,“ trzymają się widocznie bardziej tej ostatniej strony, publiczność niemiecka znów, która zapoznała się w ostatnim czasie z „Tragedyą człowieka,“ widziała bardziej pierwszą i dlatego nie bardzo ciepło przyjęła dzieło poety węgierskiego. Ratują je na scenie teatru międzynarodowego trochę dekoracye istotnie wspaniałe, a trochę znów grzeczność wiedeńczyków dla sąsiadów węgierskich. Jakże bowiem być tu niegrzecznym, kiedy wystawienie sztuki zostało umożliwione tylko dzięki ofiarności magnata węgierskiego, księcia Eszterhazego, który w patryotycznym zapale zobowiązał się pokryć z własnej kieszeni całe koszta, wynoszące nie mniej, niż pięćdziesiąt tysięcy zł.? Oprócz niego zasłużył się około poematu Madacha tłomacz, znany autor węgiersko-niemiecki, Ludwik Doczi, który przełożył go na śliczne wiersze niemieckie, a nadto od roku żwawo krzątał się około reklamy dla nieznanego przedtem poety. Wspólnej zasłudze tych obu zawdzięczamy więc, żeśmy się zapoznali z utworem, wzbudzającym zajęcie nasze samym

ogromem swego tematu i zasługującym, szczególnie w naszym czasie, nie bardzo jakoś w poetyckie natchnienie bogatym, bądź co bądź, na bliższą uwagę.

Kaliban.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

Cholera. — Rada Zdekauera. — Środki przeciw pożarom.

Deszcz, chłód, wiatr. Dotychczas nie mieliśmy ani jednego dnia iście pogodnego. Chodzimy skwaszeni, niezadowoleni i z nieba i z siebie wzajem. Przedsiębiorców ogródkowych ogarnia rozpacz: napróżno zgromadzają z całego świata znakomitości ogródkowe, najświetniejsze tra-la-la roztapia się we mgle, nie dosięgając kieszeni przedsiębiorcy.

Zaledwo widmo nieurodzaju przestało powiewać swą czarną chustą, słyszymy o pochodzie innego, niemniej groźnego gościa — cholery azyatyckiej. Prawda, dotąd jeszcze główne jej siły trzymają się granic Azyi: Baku, Astrachania, aułów zakaukaskich, lecz coraz śmielsze czyni ona wycieczki w głąb kraju. Od 26 czerwca do 8 lipca brzegami Wołgi przewędrowała około 1000 wiorst, zwiedziła Samarę, Saratów.

Prof. Zdekauer, który niemało w ciągu swojego życia stoczył walk z tą chorobą, dowodzi, że djabeł mniej straszny, niż go malują, trzeba tylko zapobiegać zawczasu. Najskuteczniejszą bronią w walce z cholerą jest czystość i ostrożność. Najmniejsze niesnaski żołądka, w zwykłym czasie mało znaczące, trzeba wnet leczyć. Choroba prawie nigdy nie napada nagle, przedtem uprawia grunt; człowiek ostrożny ma dosyć czasu uniknąć zasadzki. Jak grzyby rosną tylko tam, gdzie jest dosyć próchna drzewnego, tak i zarazki cholery mogą krzewić się w żołądku tylko zanieczyszczonym. Trzeba unikać jadła tłustego, surowego, wogóle niestrawnego, a przy najmniejszym nieporządku trawienia — wnet leczyć się.

W 1848 r. — powiada profesor — w Petersburgu zachorowało około 60,000 osób i umarła połowa tej liczby, zaś w r. 1866, chociaż chorób żołądka było nie mniej, przy starannem zapobieganiu wypadków cholery zdarzyło się zaledwo 15,000, a umarło około 5,000 osób. I tak, zabiegi umniejszyły śmiertelność sześć razy.

Miejmy nadzieję, że zabiegi względem pożarów zmniejszą i tę chorobę w znacznym stopniu. Wystawa przyrządów dla walki z ogniem, chociażby takich machin, co wyrzucają wodę na wysokość 2,000 stop. mniej znaczy, tylko bowiem większe miasta mogą je nabywać; praktyczniejszy jest przyrząd, który się mieści, wraz z beczką, drabiną, hakami — słowem, z całym rynsztunkiem na zwykłym wioskowym wozie drabiastym. Na przyrząd taki mniej więcej zasobne miasteczko zdobyć się może. Widzimy też na wystawie próbki materyałów budowlanych — przeciw-pożarnych. Dotychczas uczyniono w tym względzie niewiele. Słomiana strzecha nasycona gliną jest zbyt ciężka, więc potrzebuje krokwi mocnych; nowy materyał ksylolit, który się przygotowuje z trocin i podobno gipsu, zwartych ciśnieniem w jednolitą masę, opiera się paleniu, ale materyał to zbyt drogi, używany dotąd tylko na posadzki. Krom tych dwu przedmiotów, innych, godnych uwagi na wystawie nie spotykamy. Wszelkie smarowidła, mające nadawać drzewu własność kamienia, do niczego nie prowadzą, są to sztuczki efektowne, ale nietrwałe: z czasem powłoka wietrzeje i czarodziejska własność ginie.

Zjazd osób, troszczących się o zapobieganie pożarom, i narady ich w tym zakresie są rzeczą bezwątpienia najdonioślejszą; szkoda, że wśród zgromadzonych mało widzimy budowniczych, a zbyt wielu naczelników straży ogniowych; ten tylko może rozprawiać o leczeniu organizmu, kto zna się na jego anatomii i fizyologii. Zresztą co do miast, narady przyniosą korzyść: tak np. p. Ałtuchow wniósł projekt, ażeby miasta, urządzając wodociągi, wszędzie stawiały krany, dające wielką ilość wody dla gaszenia pożarów. Za takie przyrządy towarzystwa ubezpieczeń mogą i powinny wydawać miastu pewien procent od sum asekuracyjnych; tym sposobem urządzenie w krótkim czasie opłaci się, poczem będzie przynosiło zysk czysty.

Dla wsi natomiast trudno coś uradzić. Projekt sadzenia drzew między budynkami jest dobry, ale chociaż znany od wieku, dotąd nie wykonywa się; to też zjazd zamiast powtarzać stare rzeczy, powinien raczej starać się, ażeby owo sadzenie stało się obowiązkowem we wsi; zarazem wartoby wypracować wskazówki (instrukcye), jaka przestrzeń powinna rozdzielać budynki, jaki rodzaj drzew jest najlepszy, a nawet jak gęsto je sadzić.

Gazeta *Grażdanin*, jak zwykle, daje rady skuteczne, mianowicie: zabraniać we wsi palenia tytoniu, zobowiązać, ażeby rynsztunki pożarne były w porządku, podżegaczy zaś — dorosłych bić nahajami, niepełnoletnich — rózgami... i wszystkie pożary znikną.

Dnia 5 lipca poświęcono nowy gmach kliniki dla obłąkanych. Znawcy twierdzą, że jest to budowa pod względem wewnętrznego urządzenia i planu jedna z najwspanialszych w Europie. Projekt wypracował generał Wojnicki; dla udzielania wskazówek ze strony lekarzy delegowani byli słynni psychiatrzy: Baliński, Mierzejewski, Erlicki.

N. B.

PAMIĘTNIK.

Cholera.

Zbrakłoby nam miejsca w *Prawdzie* na przedrukowanie wszystkich rozporządzeń, nakazów, zaleceń i rad, urzędowych i prywatnych, przeciwko cholerze. Pisma codzienne podają je w całkowitem brzmieniu; my ograniczyć się musimy na ogólnych zarysach środków zapobiegawczych, a możemy to uczynić tem bardziej, że walka z cholerą nie odbywa się na gruncie pewników matematycznych, lecz domniemań i wniosków z doświadczenia wyciągniętych. Nikt nie wynalazł dotychczas ani bezpiecznego puklerza przeciwko tej chorobie, ani niewątpliwie skutecznego leku. Tylko teoretycznie i praktycznie doszli ludzie do przekonania, że najłacniej gnieździ się ona w brudzie i złych warunkach sanitarnych, a najczęściej atakuje nałogowców, podrywających swe zdrowie rozmaitemi nadużyciami. Zatem, chcąc wobec niej zyskać największe prawdopodobieństwo bezpieczeństwa, trzeba zachowywać czystość około siebie i umiarkowanie w sobie. Oto reguła główna, niemal wszystkie inne obejmująca. Kto cokolwiek wie, pamięta lub wypróbował, to ofiaruje do użytku publicznego; więc sypią się niezliczone rady z poręczoną skutecznością. Naturalnie, jak zwykle, nasze pisma lekarskie milczą i wolą zajmować się rozmaitego rodzaju „niezwykłymi przypadkami“ *uchylku* lub *uwięzgnięcia*. Dla nich cholera jeszcze w pobliżu nie istnieje, bo jeszcze — nie minęła.

Tymczasem według doniesień urzędowych posunęła się dalej ku zachodowi i wystąpiła w Rostowie nad Donem, Azowie, Stanicy Gwiłowskiej. Trzyma ona się dotąd przeważnie nadmorza i nadrzeczy, a przenosi się także drogami żelaznemi (woronesko-rostowską). Prasa ruska, zajęta pochodem tego wroga, wydobywa na jaw z teraźniejszości i przeszłości wiele faktów ciekawych. Tak np. pismo lekarskie *Wracz*, sięgając do wspomnień z r. 1849, kiedy zaraza grasowała daleko szerzej i gwałtowniej, na podstawie materyału statystycznego dowodzi bezzasadności mniemania, jakoby czystość wody zmniejszała natężenie epidemii. W okolicach bowiem i miejscowościach, gdzie czerpano wodę z potoków górskich, procent śmiertelności był największy, podczas gdy tam, gdzie używano jej z sadzawek, studni, małych strumieni (najłatwiejszych do zanieczyszczenia), śmiertelność była mała. Zdaje nam się jednak, że ten stosunek jest całkiem przypadkowy i nie wyraża istotnej zależności zjawisk, tak jak wogóle nie wyrażają jej często cyfry statystyczne. Jest to narzędzie naukowe, którego używać należy bardzo ostrożnie. W tym samym roku nadmiernie rozmnożyły się chrabąszcze i podrzutki — cóż prostszego i niedorzeczniejszego, jak związać te dwa fakty?

Rynek pewny.

Przemysł nasz, zwłaszcza rolny, na usprawiedliwienie swego niemowlęctwa i niemożności rozwoju, zwykle przytacza jedną, istotnie ważną przeszkodę — brak zbytu. Należy właściwie rozumieć tę okoliczność. Ażeby jakiś towar utorował sobie drogę do szerszego rynku, musi wystąpić nietylko w pożądanej jakości, ale nadto w poważnej ilości. Przypuśćmy, że ktoś w zaścianku naszym wyrobi rocznie 100 funtów sera lepszego od wszystkich znanych gatunków; mimo to może on sprzedać swój towar taniej od gorszych a nawet wcale nie znaleźć na niego kupców, czyli musi zaprzestać maleńkiej fabrykacyi. Tymczasem gdyby wyrobił 100,000 funtów owego sera i wprowadził tę masę na rynek przy pomocy wszystkich sztuk wielkiego handlu, wkrótce poszłaby ona w obieg. Przemysł bowiem z jednej strony dogadza potrzebom ogółu, a z drugiej je wytwarza, wytworzyć zaś je może działając masą. Kapitał przytem, panujący w handlu, lekceważy produkcyę ograniczoną do drobnych rozmiarów i chwyta te tylko jej gałęzie, które się rozrosły bujnie. Co go obchodzi 100 funtów najlepszego sera! Z ziarnek piasku powstają góry a z drobnych prac te olbrzymie masy wytwórczości ludzkiej, które zapełniają rynki wszechświatowe; ażeby wszakże z ziarnek piasku powstały góry a z drobin masy, potrzeba na to długiego czasu i wysiłków. Jednostka, która chce przeskoczyć wiekowy rozwój i stanąć w epoce pomyślnych jego skutków, odrazu uczuwa niemoc i rozczarowanie. To też często pionierowie naszego przemysłu rolnego skarżą się na doznane zawody lub odpierają namowy. Dobrze — powiadają oni — będziemy uprawiali chmiel, nasiona traw, zioła lekarskie, będziemy wyrabiali miody i jabłeczniki, ale komu je sprzedamy, jeśli się nie podobają żydkom, dzierżącym handel okoliczny? Dajcie nam rynek, a my wam damy produkt.

Wiedząc o tem i rozumiejąc, że najskuteczniejszym środkiem zachęcenia do pracy produkcyjnej w pewnym kierunku jest zapewnienie jej rezultatom zbytu, Towarzystwo jedwabnicze odrazu zyskało dla swej działalności powodzenie, oświadczywszy, że wszystkie oprzędy kupuje po oznaczonej cenie. Kto więc pod jego wpływem przedsięweźmie hodowlę morw i jedwabników, z góry wie, że całą ilość wyprodukowanych kokonów sprzeda. Czy mu się ta hodowla opłaci — to inna sprawa, którą każdy rozstrzygnąć sobie może tylko drogą dłuższego doświadczenia. Ale duzo warta jest ta pewność, że praca nie pójdzie na marne. Nie dziwilibyśmy się też, gdyby w kraju na-

szym szybko rozwinęło się jedwabnictwo na szeroką skalę. Co wtedy pocznie Towarzystwo ze swoimi szczupłymi środkami?— zapytacie. Wtedy tę część jego roli przejmie handel, na jego miejsce wstąpi kapitał, który dopatrzy dla siebie interes w obrotach towarem, wyprodukowanym w wielkich ilościach i dobrych gatunkach. Tego roku, również jak poprzedniego, Towarzystwo ogłasza, że skupuje dostarczone mu kokony.

Rynek niepewny.

Chociaż liczniejsze i w zadaniu swojem obszerniejsze, Towarzystwo ogrodnicze wywiera praktyczny wpływ daleko słabszy. Daje ono swym członkom możność rozprawiania o różnych rzeczach, w organie swoim udziela ogólnych rad, urządza wystawy — oto cała jego działalność — przynajmniej, niedostateczna. Jeżeli ktoś chce dostać niekosztownego ogrodnika, Towarzystwo mu go nie wskaże i nie zaleci; jeżeli ktoś chce poddać swój ogród rewizyi światłego specyalisty i zasięgnąć od niego wskazówek, Towarzystwo mu go nawet za opłatą nie przyśle; jeżeli ktoś chce nabyć drzewek, Towarzystwo mu ich nie sprzeda, lecz odprawi do tego lub owego hodowcy, który w braku okazów lepszych wetknie lichotę, sztuki nędzne lub chorowite. A teraz kwestya może najważniejsza: jeżeli, unikając dzierżawy żydowskiej, ktoś zechce wyprowadzić swoje owoce na rynek, Towarzystwo nie zaofiaruje mu swej pomocy i pośrednictwa. Zawiązana pod jego skrzydłami spółka rozpadła się i dziś dla hodowców drobnych pozostaje tylko Moszek lub Icek, który płaci ile ma i może, a nadewszystko niszczy ogród, ile mu się podoba. Rzeczywiście, Towarzystwo ogrodnicze stanęło już w tem położeniu, w jakiem jedwabnicze dopiero kiedyś znaleźć się może — wobec masy produktu, którego samo zakupić nie jest w stanie i który wymaga znacznych kapitałów. Ale do niego należy inicyatywa w tym względzie. Nie mogąc odprawiać nabożeństwa, niech przynajmniej na nie dzwonią. Takiem dzwonieniem jest projekt p. Jankowskiego w *Ogrodniku polskim*, nakłaniający do utworzenia „syndykatu pomologów.“ Wzorów za granicą nie brak. Świeżo powstał nowy we Francyi. Należą do niego: właściciele ziemscy, fermerzy, robotnicy rolni, ogrodnicy, przemysłowcy, oraz wszyscy, którzy bądź hodują drzewa owocowe, bądź do hodowli tej w jakikolwiek sposób pomagają. Syndykat ów ma na celu: badania naukowo-ogrodnicze, rozpowszechnianie najlepszych odmian, rozciąganie opieki nad całością plantacyj, rozpowszechnianie najlepszych metod wyrobu napojów owocowych, obronę interesów ekonomicznych itd., wreszcie ułatwianie kupna i sprzedaży. „Jeszcze raz — powiada p. J. — wyrażam życzenie, aby i nasi producenci owoców zrozumieli swój własny interes i stowarzyszyli się w podobny sposób. Tylko na tej drodze znaleźć mogą z sadów swoich dochody, które istnieją, ale je dziś zabiera wcale nie ten, do kogo sad należy, kto opłaca wszystkie koszta utrzymania i wszelkie klęski elementarne znosi.“

Tak, ale w tej zachęcie jest jedno fatalne słówko: „stowarzyszenie się.“ Ten owoc kultur dojrzałych u nas nie udaje się. U nas łatwiej jeden człowiek przeniesie górę, niż dziesięciu piórko. Nie wróżymy tedy pożytecznej myśli p. Jankowskiego dobrych losów. Sądzimy raczej, że handel owocowy u nas dźwignie się tylko siłami jednostkowego kapitału. Zanim to nastąpi, produkcya ta ma u nas ciągle rynek niepewny i dla tego rozwija się chorowicie. *M.*

Stancye dla uczniów.

Według gazet ruskich, wkrótce ma być wprowadzona reforma w przepisach o utrzymywaniu uczniów szkół rządowych, która głęboko sięgnie w stosunki społeczne. Mianowicie: 1) uczeń, o ile nie przemieszkuje u rodziców lub opiekunów prawnie wyznaczonych, będzie mógł stać na stancyi tylko u rodzonych lub przyrodnich: brata, siostry, ojczyma, macochy, wuja, ciotki, stryja lub stryjenki w pierwszej linii pokrewieństwa, wreszcie u dziadka lub babki; 2) wszelkie inne węzły pokrewieństwa nie będą nadawały prawa utrzymywania uczniów na stancyach; 3) utrzymywanie uczniów przez osoby obce, które traktują to jako proceder, choćby nawet miały pewne kwalifikacye, dopuszczanem nie będzie; 4) jedynie tylko etatowi profesorowie gimnazyum mogą zyskiwać pozwolenia na utrzymywanie uczniów, lecz wówczas dopiero, gdy już wszystkie miejsca w internacie będą zajęte.

Zmiana ta ma być zaprowadzona w najbliższej przyszłości, wcześnie więc przygotować się do niej powinni ci, którzy żyją z utrzymywania uczniów na stancyi.

Sprawy teatralne.

Modrzejewska w Ameryce, Kochańska w podróżach, Reszkowie we Francyi, Żółkowski i Królikowski nie żyją, pomimo jednak braku gwiazd i słońc, wpatrujemy się ciągle w niebo teatralne z nabożeństwem, godnem spraw pierwszorzędnego znaczenia. Lwią część miejsca w prasie warszawskiej zajmują ciągle sprawozdania z nowych i starych sztuk, niepomijające najrzetelniejszych głupstw i błazeństw; reporterzy prowincyonalni w doniesieniach swoich mogą zapomnieć o tem, czy ludność okoliczna ma co jeść, ale nie zapomną nigdy o teatrach amatorskich; w korespondencyach z Galicyi główny nacisk spoczywa bądź na debiutach, bądź na kurtynie, namalowanej przez Siemiradzkiego dla Krakowa, bądź na zatargu komisyi artystycznej z przedsiębiorcą teatru lwowskiego, który — jak głosi jej reporter urzędowy — niedbałość swą posunął tak daleco, że „komikowi, zwykle grającemu role starych sług, kazał przedstawiać poważnego biskupa krakowskiego.“

Nową podnietę teatromanii dał *Kuryer warszawski*, który pomny rezultatów wszystkich prawie u nas konkursów dramatycznych, przeradzających się w komiczne lub gorszące widowiska, i nie ufając gronu wybranych sędziów literackich, chwycił się bardzo dowcipnego sposobu. Oto na jego prośbę dyrekcya teatrów warszawskich zobowiązała się wystawić pięciokrotnie każdą ze sztuk konkursowych, zaleconych przez komitet do grania, oraz ogłosić wyniki kasowe. Tym sposobem okaże się, który z utworów najbardziej przypadł do gustu publiczności i krytyce. Niewątpliwie będzie to próba pouczająca, lecz nie dość ścisła. Niektórzy bowiem z autorów rozporządzają taką ilością wujów, ciotek, stryjów, stryjenek, wszelkiego stopnia kuzynów i kuzynek oraz przyjaciół, że gdy ten orszak skomplotują, wypełnią cały teatr i dadzą rezultat kasowy wyśmienity. Co zaś do krytyki, to zdaje się, że ona pozostawi sędziom zupełną samodzielność, gdyż z pewnością co jednemu z recenzentów wyda się białem, to inni nazwą: czarnem, czerwonem, niebieskiem, żółtem itd.

W końcu zaznaczyć trzeba niezwykłą nowość: za każdą sztukę wystawioną dyrekcya wypłaci autorowi, po rozstrzygnięciu konkursu, rs. 300; niezależnie od tego autorowie dwu sztuk, mających największe powodzenie kasowe w ciągu pierwszych pięciu przedstawień, otrzymają 5% od dochodu brutto. Policzmy: 1,000 rs. nagroda, 300 rs. zapłata teatralna, 5% od dochodu brutto — szczęśliwy laureacie, otrzymawszy palmę, spytasz zapewne, po czemu są nowe domy w Warszawie!

Krótka pamięć.

P. Fraget, właściciel znanej fabryki wyrobów platerowanych, długo nazywanych frażetowskiemi (od jego ojca), wyprawił sobie 25-letni jubileusz swej pracy. Niektóre dzienniki warszawskie, opisując z uniesieniem ten obchód, wysławiają zasługi jubilata i przytaczają z przemówień na uczcie pochwały dla „zacnego chlebodawcy,“ „dbałego o dobro i los swych pracowników,“ które „zawsze stawiał na pierwszym planie.“ Jakżo to pewne rzeczy szybko z pamięci wietrzeją! Bo przecie zaledwie parę lat upłynęło od czasu, kiedy fabrykę p. Frageta opuściła gromada oficyalistów, a może w tych samych, niewątpliwie zaś w kilku pismach atakowano go za postępowanie z podwładnymi. Secesya owa była głośna w Warszawie, polemika toczyła się długo i ostro — o wszystkiem tem zapomniano „wobec suto zastawionych stołów.“ I cóż jest prawdą — spyta przyszły badacz kroniki naszych czasów, jeżeli na ten drobiazg padnie jego uwaga — czy p. Fraget był „niesumiennym,“ czy też „dbałym o dobro i los swych pracowników chlebodawcą“? Oj ta nasza opinia!

Figle spekulacyi.

Ma, czy nie ma racyi *Graždanin*, utrzymujący, że w Kijowie 10 meklerów postanowiło ściągnąć haracz ze spożywców, podwyższając samowolnie cenę cukru o 2 rs. na pudzie, że Brodzki zakupił całą ilość tego produktu i nie wypuszcza go na rynki dla wywołania podwyżki cen, to pewna, że cukier nagle i bez widocznej przyczyny podrożał, oraz że spekulacya sięgnęła do naszych kieszeni. Jest to rzeczywiście faktem nie tyle dziwnym (wobec rozmaitych „pierścieni“ przemysłowo-handlowych), ile charakterystycznym, że towar, którego nadmierna produkcya jest tamowana wywozem za granicę i umowami fabrykantów, ograniczającemi jej rozmiary, staje się na miejscu przedmiotem zbytku i ulega takim podskokom w cenie, jak obecny. Spekulacya słusznie hula sobie kosztem ogółu, bo nie widzi przeszkody, która by powstrzymywała te jej pląsy. A hula nietylko w dziedzinie cukrowniczej. Korespontent *Kuryera warszawskiego* z Łodzi donosi, że tam objawiła się tendencya silnie zwyżkowa w dziale wyrobów bawełnianych i białych. „Lada chwila — pisze on — towarzystwa akcyjne: Scheiblera, Poznańskiego, J. Heinzla, Silbersteina i pabianickie „Krusche i Ender“ podniosą ceny prawie wszystkich gatunków towarów białych bawełnianych, a za niemi pójdą będą musiały wszystkie inne mniejsze fabryki w tym samym dziale wytwórczości. Główną przyczynę zwyżki podobnej upatrywać trzeba w konjunkturach walutowych obecnych i innych komplikacyach handlowych, ani zbyt bowiem nadzwyczajny, ani też nadmiernie silne zapotrzebowanie wobec dopiero co rozpoczętego sezonu wpłynąć jeszcze na zwyżkę taką nie mogły, tembardziej, że nie ujawniły ich samo dotąd w tym stopniu.“ Wczoraj tkaniny, dziś cukier, jutro może chleb, żelazo, mięso „podskoczą w górę,“ gdy im zagra „harmonia interesów...“ spekulacyi, grająca odwieczną pieśń „swobodnego współzawodnictwa.“

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Ustawa górnicza dla Królestwa Polskiego, świeżo ogłoszona i już obowiązująca, zastępuje ustawę z r. 1870 i dotyczy poszukiwań i wyznaczania gruntów do eksploatacyi pokładów mineralnych. Ci, którzy mieli wydzielone dawniej place do eksploatacyi, zachowują i nadal prawo władania niemi pod warunkiem stosowania się do nowej ustawy; dobrowolne umowy, zawar-

te na zasadzie dawnych przepisów pomiędzy przemysłowcami górniczymi a właścicielami gruntów, zachowują swą moc obowiązującą nadal. W ciągu pierwszych dwóch lat od czasu wprowadzenia nowych przepisów, poszukiwania i eksploatacya rud żelaznych nie będą dozwalane na cudzych gruntach bez zgody właścicieli. Nierozstrzygnięte jeszcze prośby o wydzielenie gruntów na prowadzenie poszukiwań na zasadzie dawniejszej ustawy, pozostaną bez skutku. Osoby, które zakomunikowały o znalezieniu pokładów kopalnianych przed wprowadzeniem nowej ustawy, winny nie później, niż w ciągu trzech miesięcy od czasu ogłoszenia tej ustawy, prosić o wydzielenie gruntów na eksploatacyę znalezionych minerałów, starając się przedtem o stwierdzenie urzędowne odkrycia; w razie opóźnienia tego terminu lub zaniechania rzeczonego stwierdzenia, prośba pozostanie bez skutku. Prośby o wydzielenie gruntów dla eksploatacyi na zasadzie poprzednich przepisów, podane przed wprowadzeniem nowej ustawy, decydują się na zasadzie ustawy z d. 16 (28) czerwca 1870 r., lecz prawa i obowiązki właścicieli tych gruntów określają się na mocy nowej ustawy.

Przemysł górniczy. W Dąbrowie zawiązało się nowe towarzystwo eksploatacyi węgla kamiennego. Spółka kapitalistów, do których między innymi należą hhr. Potocki i Ostrowski, postanowiła wznowić eksploatacyę kopalni węgla w Łagiszach pod Dąbrową, nieczynnej już od dość dawna.

Zmowa cukrowników. Ceny cukru znacznie idą w górę wskutek zmowy cukrowników i skupowania przez nich mączki cukrowej. Mączkę tę przerabiają w części na rafinadę, ale nadto w wielkich ilościach wywożą za granicę. W ciągu pierwszych pięciu miesięcy r. b. wywieziono za granicę mączki cukrowej o 477,000 pudów więcej, niż w roku zeszłym. *Odesskija Wied.* piszą, iż należałoby czasowo wstrzymać wydawanie premij wywozowych.

Urodzaje w Ameryce. Według sprawozdań specyalnego biura przy ministeryum rolnictwa w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, jeśli średni urodzaj oznaczymy liczbą 100, to przewidywane urodzaje tegoroczne w wielkiej rzeczpospolitej amerykańskiej będą następujące: bawełna 189,9, kukurydza 81,1, pszenica ozima 89,6, jara 90,9, owies 87,2, żyto 82,8, jęczmień 82. Po dokonaniu odpowiednich obliczeń, wypada, że zbiory tegoroczne pszenicy będą o 37 milionów buszli mniejsze, niż w r. z.

— Departament celny zawiadomił komorę odeską, że może wypuszczać za granicę pszenicę z domieszką 20% żyta, zamiast 8%, jak było nakazane dotychczas.

— Do d. 13 b. m. ze sprzedaży dokumentów handlowych i z podatku dodatkowego w Warszawie wpłynęło 716,279 rs. 24 kop., procentów od dokumentów handlowych i niedoborów rs. 125,219 k. 47.

— Na południu państwa powstaje nowe towarzystwo ubezpieczenia właścicieli ziemskich od nieurodzaju i zniszczenia zasiewów przez susły, szarańczę i inne owady i zwierzęta.

— W r. b. połów jesiotrów w Wiśle nie jest pomyślny. W r. z. łowiono ich pod Włocławkiem po 30 sztuk dziennie, gdy obecnie zaledwie po kilka, podobnie jak i po stronie pruskiej.

— Widoki urodzajów tegorocznych w całem państwie, według najnowszych doniesień telegraficznych do departamentu rolnictwa, są zadawalające; jedynie mniej pomyślne wieści dochodzą z powiatów północnych gubernij czarnoziemnych.

— W pow. błońskim, sochaczewskim, skierniewickim i łowickim podróżują obecnie komisanci zbożowi z Gdańska i Królewca i zawierają bezpośrednio z ziemianami kontrakty na pszenicę i jęczmień.

— P. N. Lewenstein odkrył w głębokości 40 stóp pod powierzchnią ziemi na gruntach folwarku Potomiec w pow. będzińskim pokład węgla kamiennego.

— W pierwszych 5-u miesiącach r. b. wywieziono z państwa 4,000,000 stopni spirytusu; w tym samym okresie r. z. wywóz wynosił 27,000,000 stopni.

— W gub. warszawskiej remanent okowity w dniu 13 z. m. wynosił 9,347,967 stopni, czyli mniej niż w odpowiedniej porze r. z. o 722,224 stopni; w gub. siedleckiej remanent ów wynosił 13,518,265 stopni, więcej niż w r. z. o 3,359,609 stopni.

— Francuzka spółka eksploatacyi węgla kamiennego wysłała w czerwcu r. b. z Maryupola około 900,000 pudów węgla do Konstantynopola.

— Jedna z fabryk warszawskich wysłała na żądanie firmy hamburskiej 100,000 sztuk papierosów.

Z rynku.

Targi zbożowe. Warszawa, 20 lipca. Na st. Praga Terespolska płacono całemi wagonami za pud: Pszenica krajowa średnia 123—128, wyborowa 130—138; usposobienie spokojne. Żyto wyborowe 94—96, średnie 88—90; usposob. zniżkowe. Owies wyborowy 96—100, średni 88—94; uspos. mocne. Jęczmień na kaszę 85—90, na paszę 70—76: słabo. Gryka 117—120; mocno. Kasza jaglana 110—130; zniżkowo. Kukurydza 69—72; spokojnie. Wogóle usposobienie targu słabe, obroty małe.

— W magazynach tranzytowych pozostaje 344 wag., w tem żyta 76 wag., owsa 81, kaszy jaglanej 52, jęczmienia 40, mąki pszennej 24, pszenicy 23, kukurydzy 16, gryki 2, grochu 3, kaszy gryczanej 4, mąki żytniej 9.

— Na placu Witkowskiego dokonano następnych tranzakcyj: pszenicy 100 korcy po 765 i 100 kor. po 8,50; żyta 100 kor. po 555.

Libawa, 18 lipca. Dowóz zboża wynosił w ciągu dwóch dni ostatnich 243 wagony. Żyto bardzo słabo; płacono 109—110. Owies mocno; wyborowy suchy 78—79, litewski suchy 92—93. Jęczmień słabo 73—79.

Łódź, 20 lipca. Popyt słaby. Od piątku sprzedano na stacyi towarowej 1,800 korcy owsa po 335—350; na Starym Rynku sprzedano 19 lipca żyta 150 korcy po 610—625 i pszenicy 600 korcy po 830—850.

Cukier. Cena rafinady w Kijowie wynosi 6 rs.; kostki o 30 kop. więcej.

Len. Ceny lnu poszły w górę, z powodu zwiększonego zapotrzebowania, głównie z Francyi, i niezadawalającego wogóle stanu zasiewów tej rośliny w Europie.

Okowita, 20 lipca. Brutto z potrąceniem 2%: hurtowa w. 100^0 — $10,96^{15}$, w. 78^0—8,55; szynkowa w. 100^0—$11,11^{15}$, w 78^0—$8,66^5$. Netto bez potrąc.: hurtowa w. 100^0—$10,74^3$, w. 78^0—$8,37^9$; szynkowa wiadro 100^0—10,89, w. 78^0—$8,49^3$.

PRASA RUSKA.

Warszawskij Dniewnik pisze:

„Polska prasa zagraniczna w ostatnich czasach bardzo gorliwie zajmuje się zmianami w administracyi i składzie urzędników kolei Terespolskiej, która, jak wiadomo, z d. 13 czerwca r. b. przeszła na własność państwa. Równocześnie z tem nominacye nowych osób pochodzenia ruskiego na niektóre urzędy kolei Nadwiślańskiej oraz innych dają powód do licznych skarg w tej prasie na Rosyę i rząd. *Czas* jakby się nawet ucieszył z okazyi i w mianowaniu rosyan na posady widzi objaw barbarzyństwa, despotyzmu itp. Tym razem zapomniał nawet o swej zasadzie przeciwstawiania rządu i społeczeństwa w Rosyi i uważa zmiany w personelu urzędników na kolejach żelaznych w tutejszym kraju za następstwo wpływu społeczeństwa i prasy, która wskazywała, że „wielkiem niebezpieczeństwem dla siły obronnej Rosyi jest przewaga urzędników pochodzenia polskiego na kolejach pogranicznych, przecinających Królestwo Polskie.“ Według zapewnień *Czasu*, prasa ruska, wskazująca konieczność dla dokonania zmian w administracyi kolejowej, wychodziła z zasady, że „polacy są niebezpieczni, bo nie przyjmują prawosławia, nie ruszczą się“ itd. Zwykłe to są narzekania przy wszelkich napaściach na Rosyę, zwykłe jak potwarz i kłamstwa na ruskich ludzi, urzędujących w tym kraju.

Przedewszystkiem zauważyć należy, iż mianowanie ludzi ruskich na posady kolejowe w kraju naszym oddawna uważane było za niezbędne. Już w r. 1883 J. E. Główny Naczelnik Kraju wskazał konieczność tego środka i te wskazówki powtórzyły się i następnie. Z przejściem kolei Terespolskiej na własność skarbu środek ten otrzymał zastosowanie energiczne. Że polacy w Galicyi mają takie same poglądy, to dowodzi fakt, że już w roku zeszłym w Galicyi starali się centralizować w swojem ręku koleje galicyjskie i wszystkich na nich urzędujących zastąpić polakami, przyczem domagano się wydalenia z tych kolei wszystkich niemców. Doniosłość nietylko strategiczna, ale i polityczna kolei, przerzynających kraj nasz, zupełnie jest zrozumiała, łatwo więc pojąć również, że pożądanem jest, ażeby zarząd i służba na nich powierzone były ludziom ruskim, na których spoczywa główny obowiązek strzeżenia kresów i granicy Rosyi. Nie znaczy to jednak stanowczo, ażeby ktokolwiek uważał za podejrzanych ludzi wszystkich polaków, służących na kolejach. Jedynie ma to znaczenie takie, iż rząd ruski postanowił ściślej stosować się do swego obowiązku, polegającego na staraniach, ażeby całkiem spokojnie rozporządzać ważnemi drogami, łączącemi środek Rosyi z jej granicami.

Gazety polskie chcą widzieć jaknajwiększą niesprawiedliwość w tym środku, przez rząd zastosowanym, a *Nowa reforma*, szczegółowo opowiadająca o wykonywaniu tego środka i jak zwykle mieszająca to, co było, z tem, czego nie było, jęczy na okrucieństwo, na prześladowania polaków w Rosyi itd. Czas byłoby już zaprzestać polskiej prasie zagranicznej bezużytecznie gadać o jakiejś „nienawiści rasowej,“ jak pisze *Czas*, rosyan ku polakom. Takiej nienawiści w rosyanach ku polakom niema wcale. Gdyby tak utrzymywać, w takim razie każde postanowienie rządu, mającego prawo i obowiązek podług swoich poglądów rozporządzać nominacyami na posady, trzeba byłoby objaśnić jakiemś uniesieniem, jakąś nieracyonalną dążnością drażnienia podwładnej narodowości. Tylko nienawidzący Rosyę mogą przypisywać taką właściwość rządowi ruskiemu. Nie, nie „nienawiść rasowa“ uwidoczniła się w tem rozporządzeniu ministeryum komunikacyi pod względem mianowania urzędników ruskich na posady przy niektórych kolejach żelaznych, lecz poniekąd konieczność państwowa. Wprowadzenie tego środka w wykonanie nastąpiło być może trochę pospieszuie, alež to nie jest jeszcze objaw „nienawiści rasowej.“

Czyż usunięcie polaków z posad na kolei Terespolskiej znaczy, że podejrzenie padło na osoby te, z których wiele bezwątpienia zajmowało godnie przez długie lata swe posady? Naturalnie, bynajmniej, żadną miarą!

Nie wiemy, jak zamierza postąpić ministeryum komunikacyj z osobami, zwolnionemi ze służby, życzyć jednak należy, ażeby jeżeli nie wszystkim, to większości zaproponowane zostały posady równoznaczne na kolejach wewnętrznych Rosyi. Byłoby to oczywiście sprawiedliwe i najzupełniej odpowiadałoby korzyści publicznej. Wprawdzie nie uspokoi to wzburzenia ani *Czasu*, ani *Nowej reformy*, ale o zadowoleniu tych organów nikt przecie nie będzie myślał... Prędkie jednak udzielenie posad osobom, usuwanym z kolei naszego kraju, które godnie urzędowały dotychczas, byłoby, powtarzamy, tylko pożądane i zniweczyłoby skargi na krzywdy, jakoby wyrządzane przez Rosyę polakom z nienawiści rasowej.“

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Dnia 18 b. m. w Przybramie, głośnym w ostatnich czasach z katastrofy w kopalniach, która pochłonęła kilkuset górników, wynikły zaburzenia wśród robotników z powodu zniżenia płacy. Żandarmerya uciekła się do użycia broni.

— W tych dniach urządzono w trzech punktach Warszawy herbaciarnie, w których można dostać szklankę herbaty za 1½ kop. Zakłady te są otwarte obecnie od godz. 4-ej z rana do północy, w zimie zaś bez przerwy przez całą dobę.

— Trzy rozległe cyrkuły warszawskie, powązkowski, jerozolimski i łazienkowski, będą podzielone każdy

na dwa cyrkuły; w ten sposób Warszawa będzie posiadała 12 cyrkułów policyjnych zamiast dotychczasowych 9-u. Nazwy nowych cyrkułów będą: mostowski, towarowy i mokotowski.

— W Kaliszu powstaje spółka wzajemnego ubezpieczenia właścicieli domów od strat z powodu niezajęcia mieszkań przez lokatorów.

Szkoły. W istniejącej w Krakowie szkole sług uczyły się w ciągu ubiegłego roku szkolnego 273 uczennice, w których najpilniejsze otrzymały nagrody pieniężne.

Sprawy prasowe. Minister spraw wewnętrznych zabronił dziennikowi *Peterb. Wiedom.* drukowania ogłoszeń, oraz sprzedaży numerów pojedyńczych.

Zdrowie publiczne. W interesie zdrowia robotników, fabrykanci, przerabiający wełnę, otrzymali polecenie, aby pakunki z wełną nie były otwierane i sortowane wewnątrz fabryki, lecz zdala od zabudowań pod dozorem władzy weterynaryjno-policyjnej. Przed sortowaniem wełnę należy przemywać w mydlinach.

— W ciągu tygodnia od dnia 3-go do 9-go b. m. zmarło w Warszawie 280 osób, czyli o 28 więcej niż w tygodniu poprzednim, głównie na nieżyt kiszek, zapalenie płuc i suchoty. Dzieci żywych urodziło się 270.

— Według doniesień urzędowych z dnia 19-go b. m., w ostatnich dniach zmarły na cholerę w gub. astrachańskiej 503 osoby, w gub. bakińskiej 227, w Słobodzie Pokrowskiej 151, w Saratowie 105, w gub. elizabetpolskiej 90, w obwodzie dagestańskim 71, w gub. samarskiej 55, w Carycynie 54, w obwodzie Tereckim 24, w pow. kamyszyńskim 11. Cholera zjawiła się również w Rostowie nad Donem, w Azowie i gub. woroneżkiej.

— Z powodu znacznego zapotrzebowania środków dezynfekcyjnych na miejscu i do Cesarstwa, niektóre składy apteczne w Warszawie zwiększyły swój personel i podwyższyły mu płacę, aby podołać zamówieniom i uskutecznić wysyłkę. W niektórych składach zabrakło żądanych środków; sprowadzają je tedy forsownie z za granicy pociągami pasażerskimi, co wpływa znacznie na ich podrożenie. Podobno nawet zagranica nie może zaspokoić wymagań hurtowników warszawskich pod względem ilości i szybkości dostawy.

— Rząd serbski ustanowił kwarantannę 7-dniową dla podróżnych i towarów z państwa ruskiego, przewożonych przez Rumunię i Bulgaryę.

— Właściciele zakładów przemysłowych w Warszawie otrzymali polecenie od władz policyjnych, aby w ciągu najdalej trzech dni umówili się z lekarzem, któryby miał ciągły dozór nad zdrowiem robotników, oraz aby piśmienne zobowiązanie się lekarza w tym względzie złożyli komisarzowi odpowiedniego cyrkułu. Nadto mają przestrzegać czystości w swych zakładach, odnowić je, zaopatrzyć się w środki dezynfekcyjne, a w razie zapadnięcia którego z robotników na jakąkolwiek chorobę żołądkową, zawiadamiać o tem policyę i lekarza zakładu.

— Instytut medyczny doświadczalny w Petersburgu zaleca następujący środek dezynfekcyjny d-ra M. Nenckiego: Jedna część wagi dziegciu sosnowego lub brzozowego, 2 części wody i 1½ części popiołu drzewnego; po zmieszaniu tego, rozcieńcza się w 8-u częściach wody, pozostawia w spokoju, a po ustaniu się zlewa się do innego naczynia, pozostawiając na dnie piasek i męty. Roztwór ten szybko zabija bakterye choleryczne.

— *Warsz. Dniew.* ogłasza: Profesor uniwersytetu warszawskiego A. Tauber otrzymał z Niższego Nowogrodu od Najwyżej upełnomocnionego do przedsięwzięcia środków przeciw cholerze nad Wołgą (Fadejewa) telegram następujący: „Lekarze i felczerzy są bardzo potrzebni do stacyj sanitarnych nad Wołgą. Dla lekarzy przeznacza się 500 rs. za dwa miesiące, oraz koszta przejazdu do miejsca przeznaczenia; dla felczerów zaś od 50 do 70 rs. miesięcznie."

Wystawę rolniczą w Półtawie odłożono do r. p.

Wybuch wulkanu zniszczył zupełnie wyspę Sangir, położoną pomiędzy Celebesem i Mindanasem, przyczem zginęło 12,000 mieszkańców wyspy.

Pożary. Fabryka cukru w Żażkowie w pow. taraszczańskim gub. kijowskiej spłonęła ze wszystkiemi zapasami. Straty wynoszą 500,000 rs.

— W Zakroczymiu zgorzało 11 domów; straty wynoszą przeszło 15,000 rs. W okolicach Suwałk nawiedził pożar wsie: Serej, Sztabinie, Bakałarzew i Bartniki. W samych Sztabiniach szkody oceniają na 30,000 rs.

Wypadki. Pod Windsfeldem w Bawaryi pociąg towarowy wyskoczył z relsów; kilku ludzi zginęło. Sprawca wypadku, zwrotniczy, sam rzucił się pod koła lokomotywy.

— W nocy z dnia 11-go na 12-y b. m. o dwie wiorsty od Bzina na dr. żel. Dąbrowskiej pociąg towarowy wpadł na przejeżdżający przez plant kolei wóz z 6-u podróżnymi, z których trzech poniosło śmierć na miejscu, a trzech ciężkie rany.

— Trzej aeronauci paryscy, kapitan Polle, de Mayer i Besançon, którzy puścili się w zeszłym tygodniu z Hawru balonem w podróż napowietrzną, zginęli w nurtach La Manche podczas srożącej się nad tą cieśniną burzy.

— Pomiędzy Wrocławiem a Bogumínem w nocy z dnia 15 na 16 b. m. wykoleił się pociąg, na który znów najechał inny z przeciwnej strony. Wielu urzędników kolejowych i podróżnych odniosło rany; 20 wagonów uległo zniszczeniu.

— Jak donoszą *Peterb. Wiedom.*, 16-u rozbójników napadło w Syberyi Wschodniej na karawanę, wiozącą 16 pudów 35 funtów złota, poraniło kilku ludzi, strzegących cennego ładunku, zrabowało go i uciekło Amurem. Towarzystwo kopalń złota przeznaczyło 30,000 rs. nagrody za pojmanie złoczyńców.

Zmarli. Piotr Osyan Bonnet, matematyk, b. profesor Sorbony i członek Instytutu.

— Waleryan Podwysocki, doktór medycyny, profesor uniwersytetu kazańskiego.

— Bronisław Przyrembel, niegdyś redaktor *Ogniska Domowego*, w Łowiczu.

OFIARY.

Na kolonie letnie. Muttermilch rs. 1.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 10 Іюля 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. **A. Świętochowski.**